№ 6. Warszawa, dnia 27 Stycznia (8 Lutego) 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

III.

Na drugi dzień, gdy pospieszna lokomotywa szybkością błyskawicy, polską rodzinę pomiędzy góry i skały Semeryngu do włoskiéj ziemi wiozła a pani Apolonia z przestrachu na widok tak śmiałéj kolei prawie omdlewała: siedział znajomy nasz agent nadworny w wykwintnym prawie kobiecym budoarze, urzędowo kancelaryą nazwanym i rozmawiał z gościem, który na aksamitnym fotelu ulokował się naprzeciw niego.

Stosując się do miejscowych zwyczajów miał pan Lucyan na sobie bogato wyszywany szlafrok z tureckiéj materyi jedwabiem podszyty. Ulubiony i wygodny ubiór niemiecki, w którym ojciec rodziny tak w pracowni swojéj jak i w kółku rodzinném większą część życia przepędza, zamienił się teraz na strój wykwintny, będący w harmonii z całém wykwitném urządzeniem tak zwanéj kancelaryi. Mnóstwo wytwornych firanek i bogatych sprzętów i sprzęcików napełniało tę komnatę, gdzie w ogóle wszystko obliczone było na wrażenie—klienta:

Gość dzisiejszy nie był klientem, mimoto nieochłonął był jeszcze z wrażenia, jakie na nim sprawiła kancelarya prawnika. Oglądał się na wszystkie strony, a niektórych z mniej znanych przedmiotów własnoręcznie się dotykał. Nadworny agent z upodobaniem patrzał na swego gościa który widocznie tem wszystkiem był olśniony.

— Dobrze że nie jestem twoim klientem rzekł gość nieco uspokojony, byłbym bowiem w wielkim kłopocie co ci dać za konsultacyą prawniczą.

Agent nadworny oparł się o poręcz fotelu i wydmuchnął przed siebie chmurę dymu.

— Prawnik ma interesa z różnymi ludźmi, odparł po chwili, potrzebuje więc tak mieszkać, aby i księcia godnie mógł przyjąć u siebie. Nie uwierzysz jak taki nasz dobrobyt wpływa na takie figury! Powiadam ci, że wszedłszy do moich apartamentów wytrzeszczają oczy, jakby temu wszystkiemu nie wierzyli co widzą. Arystokracya w obec dzisiejszych innych potęg społecznych bardzo ubożeje! Taki fabrykant cegieł jest dzisiaj większym panem niźli były udzielny książę rzeszy niemieckiéj! Demokracya górą!

— Cześć dla pracy bierze górę... Gdy mi w Wiedniu przy głównym zarządzie kolei dano posadę, pomyślałem zaraz sobie że Lucka dawnego kolegę, którego w szkole tak niezasłużenie kalafaktorem nazywaliśmy, muszę koniecznie odwiedzić!

Agent nadworny zakrył twarz gęstą chmurą dymu.

— I cóż masz na téj posadzie swojéj? zapytał z przyciskiem.

— Mam już dzięki Bogu ośmset piędziesiąt guldenów z dodatkiem na mieszkanie.

— I nic nie masz oprócz tego więcéj?

— Cóż mogę miéć więcéj?... Mam żonę, matkę żony i czworo dzieci!

Urzędnik kolejowy zaśmiał się ze swego dowcipu.

— No, odparł prawnik, to ci winszuję twojéj skromności! *Paulo contentas*! Jabym nie mógł żyć w takiéj beczce Diogenesa!

— Było mi gorzéj, dzisiaj jestem sobie panem!

— Moja skala życia jest inną. Czy wiesz, że za powierzoną mi sprzedaż jednego z większych majątków w naszym kraju zarobię co najmniéj, dziesięć tysięcy guldenów?

— Dziesięć tysięcy! krzyknął szczęśliwy człowiek z przerażeniem, jakby mu kto dotychczasowe jego szczęście odbierał.

Prawnik uśmiechnął się z politowaniem.

— Proszę cię, mówił dalej już mniéj szczęśliwy człowiek, jakimże sposobem możesz tyle na raz zarobić?

Agent nadworny przełożył nogę na nogę i odrzekł:

— Mam procent od ceny sprzedaży, zależy mi na tem, jak wysoką cenę uzyskam. A na to trzeba miéć znowu rozum. Gdybym naprzykład ten majątek najbliższemu sąsiadowi, panu Maciejowi, który się do mnie zgłaszał, chciał sprzedać, to od ceny jaką on ofiaruje, wypadłby zaledwie procent dwóch tysięcy, Ale ja inaczéj rzecz obmyśliłem. Zbierano tutaj kompanią niemiecką, *respective* pruską, która ma w tym majątku natychmiast lasy w pień wyciąć a ziemię potem między kolonistów rozparcelować! W takim razie będę miał zapłatę podwójną bo właściwie zrobią się z tego dwa interesa!

Porwał się z fotela biedny urzędnik.

— Jakto, zawołał, to ty podajesz rękę takim ludziom, pomagasz w takich sprawach?

Ironiczny uśmiech przemknął po twarzy agenta.

— Jaki z ciebie idealista, rzekł po chwili, tak jakbyś życia i interesów ludzkich nie znał. Ale nie jesteś takim sam jeden. Spotykałem się nieraz z takiemi zdaniami według których prawnik ma być tylko opiekunem słabych i uciśnionych! Gdzież jest kryteryum kto słaby i uciśniony? Jeżeli ktoś zarobiony grosz swój właścicielowi ziemskiemu pożyczy i napowrót od niego odebrać nie może, czyż nie jest on owym słabym i uciśnionym? Czyż adwokat który w jego imieniu sprowadza subhaste nie dobry popełnia uczynek? A jeżeli żyd lub prusak ma pieniądze i ten majątek kupuje, czyż adwokat temu winien?...

Głupie patryotyczne sumienie nasze obwinia niezasłużenie ludzi, którzy tem tylko może zbłądzili, że byli pracowitsi od nas i oszczędniejsi!

— Czy raczéj, że umieli skorzystać z położenia bliźniego.

— A gdyby i tak było, dla czego jesteśmy tak głupi że pozwalamy z siebie korzystać?

— Nierówne warunki społeczne i polityczne...

— Et, tem się tylko zasłaniamy! Nie umiemy czy nie chcemy pracować. A zresztą prawnik nie jest bocianem aby świat czyścił. On zarabia i pracuje jak każdy inny. Trudno wymagać, aby klientów i interesa odrzucał. Nie weźmie jeden weźmie drugi, a lepiéj przecie że weźmie swój niżeli jaki zawłoka!

W téj chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Przepraszam cię, rzekł do gościa agent wstając z foteiu, mam właśnie konferencyą...

— I tak miałem cię pożegnać! odparł gość bądź zdrów!

— Bądź zdrów, czasami możesz sobie przypomnieć o mnie... osobliwie w godzinach poobiednich jestem zazwyczaj w kawiarni Dauna, gdzie miewam stałą schadzkę z ministeryalnym sekretarzem...

— Ja zaś w tych godzinach mam służbę... bądź zdrów.

Urzędnik wybiegł szybko z wytwornych apartamentów nie oglądając się wcale na gościa, który jego miejsce na fotelu miał zająć.

Gość, który teraz do kancelaryi prawnika wchodził był to okazały lubo nieco już szpakowaty mężczyzna. Miał nos krogulczy, znacznie ku brodzie nachylony. W oczach i na całéj twarzy był wyraz pewnéj energii.

— *Guten Tag Herr Doctor*, rzekł czystym niemieckim akcentem, jakby ten język był rodzinnym jego językiem.

— *Guten Tag Herr Goldfisch*! odparł agent z ugrzecznieniem takim samym językiem.

I pomiędzy prawnikiem a klientem rozpoczęła się długa rozmowa po niemiecku, chociaż jeden i drugi urodził się i wychował na polskiéj ziemi.

Pan Goldfisz pochodził z małego miasteczka nad Sanem, gdzie w pierwszéj fazie swojéj metamorfozy był sobie zwykłym polskim żydem. Gdy mu się handelek z okoliczną szlachtą poszczęścił i kieszeń jego chałata pieniędzmi się napełniła, Goldfisz stał się niemcem i odtąd tak w kole rodziny, jako też i w interesach swoich używał języka niemieckiego. Ideałem dla niego wtedy był Wiedeń i rządy centralistów, a jeżeli chodziło o walkę z żywiołem narodowym, Goldfisz był niemym sajusznikiem swojéj falangi, która składała się z podobnych jemu żydów galicyjskich.

Agent, jak sam twierdził nie chciał być bocianem, przyjął dzisiejszy język Goldfisza jako język międzynarodowy, w którym odbyć się miała konferencya.

— I jakże pana interesa idą? pytał przy końcu konferencyi prawnik po niemiecku, co zrobiłeś pan z Brzezińską?

— Co miałem zrobić? odparł Goldfisz, to co z wszystkiemi robię. Przecie już to moja specyalność!

Rozśmiał się i otworzył do agenta połamane, czarne zęby.

— Sprzedałeś pan ją? mówił daléj agent.

— Wyciąłem las a ziemię podzieliłem między trzech arendarzy, którzy tam na karczmach siedzieli!

— A Sumarzyce?

— Wyciąłem las, a ziemię sprzedałem kolonistom!

— Nabyłeś pan i Kopówkę!

— Nabyłem, wyciąłem las a pola sprzedałem!

— Tam do kata! Pan prędko pozbywasz się swego kupna! Kopówka była dobra. Możnaby było czekać nafty...

— To prawda, ale to nie jest moją specyalnością. Ja kontentuje się małym zarobkiem, ale pieniądz musi u mnie mieć szybki obrót. U kogo innego obróci się dziesięć razy, u mnie sto. Kontentuje się małym zarobkiem, ale w pewnym czasie musi ten zarobek przynieść mi sto razy więcéj niżeli innemu!

— Doskonała metoda, odparł z uśmiechem agent ale w kraju dyabelnie wiele niszczy!

Goldfisz ruszył ramionami.

— Nie ja to inny. Rezultat zawsze ten sam. Zresztą człowiek zarabiać musi!

— Prawda... i cóż, nie stało mlewa na młyn, że pan do mnie przychodzisz.

— Niekoniecznie. Chodzę właśnie koło hr. Alfonsa. Twarda sprawa, chociaż od kilku lat jest *todter Mensch*.

— Będzie wkrótce do zmielenia ładny majątek... rozległe lasy...

Goldfiszowi zaiskrzyły się oczy.

— Jaki majątek jest na sprzedaż?

— Nie jest na sprzedaż, ale...

— Chwieje się, chwieje!

— Można go będzie dostać... za większą pożyczkę.

— Pożyczkę? takich interesów nie lubię. To daleka droga!

— Pożyczka może być... z karą konwencyjną!

Goldfisz machnął ręką.

Wyprostował się na fotelu agent nadworny.

— Przecież arendarze po karczmach galicyjskich tym sposobem nabyli trzecią część gruntów chłopskich!

Goldfisz zanucił sobie pod nosem niby aryą jakąś z Ofenbacha. Należało to według niego do tonu arystokratycznego.

— Na honor, mówię prawdę! prawił daléj agent: to nowa ustawa notaryalna wydała w galicyi owoc niespodziewany!

— Dla czegóż ludzie tacy głupi?

— Wiąże się to w ogóle z naszym charakterem i usposobieniem. Czy chłop, czy obywatel ziemski, wszyscy są optymiści. Jeżeli tego potrzeba wymaga, każda nadzieja bierze się za pewną rzeczywistość. Chłop czy obywatel ziemski obliczy sobie naprzykład przy najlepszych chęciach swoich, że na przyszły rok będzie miał takie i takie zbiory. Na rachunek tych zbiorów zaciąga u swego bankiera powiatowego pożyczkę z karą konwencyjną, że jeżeli na termin nie zapłaci, za każdy dzień lub tydzień zwłoki płaci tyle i tyle. Optymista podpisuje, bo jest pewny że na termin zapłaci, tymczasem żniwo chybia, wydatek zły, ceny spadną, nieprzewidziane zajdą przeszkody, a karę konwencyjną sporządzoną u notaryusza egzekwuje sąd bez procesu!...

Goldfisz bębnił palcami po stole i nucił sobie ciągle pod nosem jakby tego, o czem agent mówił, wcale nie słuchał.

— Co mi tam takie rzeczy pan opowiadasz, ozwał się po chwili, lepiéj wróćmy do interesu. Wspomniałeś pan o pewnym majątku z lasami...

— Później o tem pomówimy, odparł agent patrząc na zegarek, bo właśnie za kilka minut mam się widzieć z sekretarzem municypalnym...

— Więc innym razem przyjdę.

— Dobrze, do widzenia panie Goldfisz!

— *Zum Widersehen Herr Doctor*!

Goldfisz wyszedł a agent oparł głowę o aksamitną poręcz fotelu i zamyślił się jakby coś w duchu układał.

IV.

Tymczasem zbliżała się polska rodzina coraz więcéj do miasta, do którego wiązały się jéj najbliższe marzenia i projekta. Stary paralityk marzył o słonéj wodzie Adryatyku, która mu ma wrócić siły młodzieńcze, pani Apolonia czuła już w piersiach swoich orzeźwiające powietrze nadwodnego miasta, które ją uciążliwego kosztu pozbawić miało a młoda wdowa, czarnooka Eliza kołysała się w wyobraźni swojéj na lotnéj gondoli, w któréj razem z nią tyle rozkosznych płynęło marzeń...

Wreszcie po całodziennéj i całonocnéj jeździe, gdy różowy brzask jutrzenki czyste niebo ubarwił, wszedł pociąg na most żelazny, a przebiegłszy przez dwieście dwadzieścia dwa łuków zatrzymał się na stacyi, którą konduktor Wenecyą nazwał.

Podróżni wysiedli na peronnie i obaczyli przed sobą upragnione miasto.

Szczególne to miasto. W nowszych czasach odkryto tak zwane mieszkania nadwodne. Budowali je zazwyczaj ludzie na wodach z obawy przed zwierzętami. Wenecya powstała jako schronienie przed najezdnikami jakimi byli Gotowie, Wandale a później Hunny. Uciekając przed ich mieczem zajęli pierwotni mieszkańcy kilkadziesiąt małych wysepek utworzonych przez namuł Adryatyku. Liczba ludzi rosła coraz więcéj a w miarę napływu nowych mieszkańców poczyna się praca herkulesowa, godna największego podziwienia, walka z morzem o każdy cal przestrzeni. Potrzeba było całe skarby w morze zanurzyć, aby na nich mógł stanąć przybytek ludzki. W miarę rozrostu tych skarbów i ludności wyrastały z wody królewskie pałace, zdumiewające dzisiaj jeszcze śmiałością i wykwintnością budowy. Walczący z morzem mieszkaniec Lagunów nabierał sił i odwagi do dalszych walk i zapasów, to też z biegiem czasu widzimy Wenecką Rzeczpospolitą walczącą zwycięzko na wszystkich prawie morzach świata, osadzającą władzcami tron Konstantynopola i świetnie prowadzącą wojnę z Cesarzem niemieckim i królem Węgier!...

Ustawiczny szczęk weneckiego oręża nieprzeszkadzał wcale muzom ojczystym i rozwojowi materyalnemu. Do miasta napływały przez handel bajeczne bogactwa całego świata, a w ciasnych jego murach rodzili się pierwsi geniusze sztuki!...

Przy takiéj wszechstronnéj potędze powiększało się miasto zwycięzką i wytrwałą walką z morzem. Na gruncie sztucznie utworzonym stanęły setki pałaców i kościołów, dla których z oddalonych krajów najdroższe sprowadzano marmury, a które wewnątrz zdobiono arcydziełami pierwszych geniuszów sztuki!...

I tak pierwsza z potrzeby osada stała się miastem iście czarodziejskiem, przypominającem obrazy fantastyczne z tysiąca i jednéj nocy!...

Całe miasto podnosi się z morza. Zdaje się że na gruncie morskim założone są fundamenta domów. Woda morza podchodzi pod sam próg domu, zagląda nawet do sieni, a jedyna często komunikacya między sąsiadami za pomocą gondoli!...

Polska rodzina, mimo podróży po różnych częściach świata nie widziała jeszcze Wenecyi. Pan Salezy lubił Paryż i Wiedeń, dawniéj Hamburg i Wiesbaden, gdzie można było żyć z pewnym pośpiechem, z gorączką, można było odurzać się widokiem tłumów i zbytków i samemu tego życia być aktorem, ale do cichéj poetycznéj Wenecyi nie miał żadnego pociągu. Tego samego zdania była także pani Apolonia. Wolała po powrocie swoim z Paryża opowiadać w parafii cuda o tem mieście mody i zbytków niżeli malować przed oczami słuchaczy zachwycające lecz ciche widoki weneckie... Eliza nie

rozporządzała dotąd sama sobą. Chociaż z chorym mężem była w krajach cieplejszych, Wenecyą jednak zostawiono na boku.

Po raz pierwszy więc, przy brzasku różowéj jutrzenki, obaczyli wszyscy czarodziejskie miasto nadwodne!

Uroczo wysunęły się z morza pobielone przez promienie słoneczne kopuły kościołów z wysokiemi dzwonnicami, a między nimi w malowniczych liniach ugrupowały się pałace dawnych patrycyuszów, z których łona wybierano władzców Rzeczypospolitéj!

Gdy wszyscy do gondoli weszli, gdy wprawny sternik wypłynął na środek wielkiego kanału, tworzącego arystokratyczną miasta ulicę, doznał biedny paralityk tak szczególnego wrażenia, o jakiem dotąd nie miał wyobrażenia. Zdawało mu się że już sam widok tego cudownego miasta, którego wszystkie większe ulice wodą po sam próg są zalane, działa uzdrawiająco na rozprzęgający się jego organizm. Te królewskie pałace, śród których przepływał, ta kamienna czy raczéj marmurowa kronika olbrzymiéj dziś upadłéj wielkości, tyle mówiła do niego i tak ciekawe opowiadała mu rzeczy, o jakich w żadnych książkach dotąd nie czytał!...

Dawniéj lubił on życie w kolorycie namiętnym. Zbytek, wrzawa, szybka zmiana scen, a wszystko to za drogie pieniądze kupione, było u niego ideałem użycia. Dzisiaj gdy nerwy się rozprzęgły, gdy żadnych gwałtowych wrażeń nie mogły już uczuć, miłe sprawiły na nim wrażenie ciche, artystyczne wykończone widoki sztuki ludzkiéj na tle zwalczonéj natury... Szlachetne to uczucie wpływało uspakajająco na schorzałe ciało biednego paralityka, który uśmiechał się przy każdym nowym zakręcie kanału do wyskakujących z głębi morza pałaców i kościołów...

Takiego samego wrażenia doznawała pani Apolonia. Szlachetne uczucie piękna kazało jéj zapomniéć o dolegliwościach i kłopotach, jakie trapiły jéj serce na widok niepewnéj przyszłości dzieci swoich..

Córka była wdową, syn nie dopłynął jeszcze do portu zwykłych przeznaczeń ludzkich... a długo czekać nie było o czem...

Z podniesionéj do góry ładnéj główki Elizy, z przysłonionych w połowie czarną rzęsą uczu można było wnosić, że wrażenia jéj były innego rodzaju. Nie miały one w sercu swojem nic do ukojenia, bo dwuletnie wdowieństwo zatarło już dawno bliznę po ukochanym niegdyś Alfredzie: nie potrzebowała także pięknych widoków w celach higenicznych bo była mimo bladych lic dosyć zdrową i krzepką. Widok czarodziejskiego miasta mógł tylko spotęgować to, co w jéj duszy wrzało w téj chwili, mógł podwyższyć poziom marzeń, z którémi jechała do tego miasta. To też było to widać w téj twarzy, odbijało się w oczach omglonych, i było widoczne w całéj jéj postawie. Oparta o poręcz dywanem okrytą zamyśloną źrenicą przesuwała po bogatych pałacach i tworzyła sobie przyszłe dzieje swoje w tém mieście... Tam w oknie kogoś ujrzała, tu z balkonu ktoś uśmiechnął się do niéj... a wkrótce gondola uwiązana przy kamiennych schodach pomknęła za jéj gondolą... i rozpoczynał się pierwszy rozdział powieści kobiecéj, rzadko kiedy dokończonéj a nigdy prawie niedrukowanéj ..

Szkoda, że to wszystko tak krótko trwało, gondola przybiła do marmurowych schodów hotelu.

W hotelu potrzeba było wszystkie poetyczniejsze marzenia na niejakiś czas zamieniać, a tymczasem zająć się rzeczami prozaicznemi. Trzeba było ulokować się i na przyszłość urządzić.

Jeszcze przed śniadaniem odbyto naradę familijną. Całą jesień a prawdopodobnie i zimę trzeba było zostać w Wenecyi. Z tego względu sądziła pani Apolonia, że byłoby lepiéj, wygodniéj i oszczędniéj, aby nająć mieszkanie prywatne. Sprzeciwiał się temu zacny paralityk. Za młodszych lat i przy lepszych dochodach nigdy w podróżach swoich nie brał prywatnego mieszkania. Nie było to u niego w dobrym tonie. Oznaczało to zawsze pewną oszczędność, która dla różnych możliwych znajomości nowych nie była dobrą rekomendacyą. Pan Salezy nie lubił gubić się w tłumie, był przekonany że obowiązek nakazuje mu błyszczyć zawsze w pierwszym szeregu. To też w teatrze i w hotelu zajmował zawsze pierwsze miejsce, a do czego wtedy się przyzwyczaił, tego nie mógł na starość porzucić Zdawało mu się, że cały świat patrzy na niego i że wzywa go do obowiązku nie gubienia się w tylnych szeregach. Zaprotestował więc jak najmocniéj przeciw mieszkaniu w domu prywatnym.

Pani Apolonia opierała się dosyć słabo, a Eliza zajęła stanowisko na pozór neutralne. Chodziło jéj przedewszystkiem o to, aby nie posądzono jéj o powiększenie kosztów i tak już zbyt kosztownego pobytu za granicą. A gdy widziała że matka do woli ojca już się przychyli próbowała nawet lekkiéj opozycyi w nadziei że zostanie przygłuszoną. Tak téż się i stało. Dwa głosy padły za pozostaniem w hotelu, w którym były kąpiele morskie. Eliza założyła łagodny protest, aby w razie potrzeby przed bratem się wytłomaczyć.

Po téj uchwale, która Elizę mimo protestu w bardzo dobry humor wprowadziła, trzeba się było zająć urządzeniem zaimprowizowanego domu. Wybrano mały apartamencik składający się z dwóch pokoików i małego salonika. Salonik według życzenia Elizy przystrojono żywemi kwiatami. Widok wychodził wprost na morze, ku stronie południowéj. Po pod okna mknęły gondole, sunęły się parowe statki i zwolna trzymasztowe poruszały się okręty. Po za tym ruchliwym czarodziejskim obrazem rysowały się w wodzie i na wodzie wysmukłe kopuły kościołów i bogato marmurem zdobione pałace. Słowem mieszkanko było urocze i nadzwyczaj wygodne.

Pierwsze dni postanowiono przebyć, *incognito*, jak się Eliza wyrażała. Chciano przez ten czas obejrzyć się w koło siebie, obaczyć osobliwości i powoli przestudyować tutejsze zwyczaje i obyczaje osobliwie co do cudzoziemców tu mieszkających. W tym celu przy zachowaniu najściślejszego *incognito* zrobiono kilka wycieczek, w których posługiwano się prostą zwykłą gondolą lub barką, Eliza miała wtedy na twarzy grubą zasłonę, to samo zalecała także matce.

Po kilku dniach takiego życia *incognito* zrobiono drugą naradę familijną. Eliza oświadczyła na téj naradzie, że potrzeba się do zwyczajów tutejszych zastosować. Ponieważ miasto nie ma w murach swoich ani jednego konia ani jednéj karety, ponieważ komunikacya przeważnie odbywa się na wodzie a miejsce ekwipaża w takim razie zajmuje gondola, potrzeba więc, jakto jest zwyczajem u bogatszych mieszkańców, miéć własną gondolę i własnego w liberyi swojéj gondoliera. *(d. c. n.)*

Na temat włoski.

Już sporo czasów minęło od chwili,
Gdy w noc wiosenną mego życia wiosny
Ten kto mię kochał...złożył na me usta
Raz tylko uścisk gorący, miłosny.

Pierwszy raz w życiu ja wówczas dotknąłem
Ustami czary téj ziemskiéj rozkoszy...
I odtąd, w życiu, najsilniejsza burza
Wspomnień téj błogiej chwili nie rozproszy.

Z tym pocałunkiem spłynęło do piersi
Natchnienie, co mi piosnkę dziś dyktuje..,
Słowo po słowie i nuta po nucie,
Jak gdyby nitka bez końca się snuje.

I nikt na świecie, jak największą siłą,
Odjąć mi daru mego nie jest w stanie;
A pocałunek, jak w piersi — natchnienie,
Na ustach moich na wieki zostanie.

Henryk Kwiatkowski.

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis).

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

V.

Turcy.

Turcy wywierają na przybywającym do Konstantynopola zupełnie odmienne wrażenie niż mieszkańcy jakiegokolwiek innego miasta europejskiego; zdaje się że to jakiś szczególniejszy lud, w którym wszyscy nieustannie myślą o jedném i tém samém. Może mieszkańcy miast północy podobne wywierają wrażenie na przybyłych z południa, ale rzeczywiście ogromna zachodzi tu różnica. Pierwsi mają poważne miny ludzi zajętych i myślących o własnych interesach, Turcy wyglądają jak ludzie myślący o czémś dalekiém i nieokreśloném. Podobni są do filozofów zatopionych w jednéj stałéj myśli, lub do lunatyków idących nie wiedząc którędy ani co się w około nich dzieje. Patrzą wprost gdzieś daleko przed siebie, jak ludzie nawykli rozpatrywać się w wielkich horyzontach, a w ich oczach i w twarzy widnieje jakiś nieokreślony wyraz smutku, jaki widzimy u osób zwykle zamkniętych w sobie. Wszyscy są równie poważni, równie wstrzemięźliwi w słowach, spojrzeniach i ruchach. Od paszy do kramarza wszyscy wyglądają na wielkich panów, ponieważ wszyscy jednakowe odebrali wychowanie, wszyscy mają w sobie jakiś rodzej arystokratycznéj dostojności, która kazałaby wnosić z pierwszego wejrzenia że w Konstantynopolu chyba nie ma prostego ludu, gdyby nie zaprzeczała temu różnica ubioru. Wszystkie prawie twarze są zimne, nie przejawiające myśli ani rozumu; rzadko, nader rzadko zdarzy się spotkać jedną z tych fizyognomii pełnych wyrazu, jakich tak wiele jest między nami, odzwierciadlających charakter tkliwy, namiętny lub burzliwy. które już z pierwszego wejrzenia dozwalają wnosić o usposobieniu człowieka. Twarze Turków są zagadką; spojrzenie ich bada ale nie odpowiada; usta nie zdradzają żadnego poruszenia serca. Trudno wyrazić jak drażni cudzoziemca ta niemość twarzy, to zimno, ta posągowa jednostajność postawy i wytężonych, nic nie mówiących spojrzeń; nieraz wśród tłumu bierze ochota zawołać: „Ależ ożywcież się przecie! powiedzcie co i jacy jesteście, o czém myślicie, co, szklistém waszém

spojrzeniem widzicie tam przed sobą w przestrzeni!“ A to ogólne ich zachowanie tak się wydaje dziwaczném; że trudno wierzyć żeby było naturalném, i nie raz zadajemy sobie pytanie: czy to tylko komedya czy wynik jakiejś choroby moralnéj, wspólnéj wszystkim muzułmanom Konstantynopola.

Jednak mimo téj jednostajności zachowania i postawy, uderza odrazu wydatna różnica zachodząca między dwiema połowami ludności. Oryginalne rysy pięknéj i silnéj rasy tureckiéj, tylko w prostym ludzie przechowały się nienaruszone, bo ten tak z konieczności jak z poczucia religijnego zachował umiarkowanie i wstrzemięźliwość naddziadów. Tam spotykamy korpusy szczupłe i silne, zgrabne głowy, oczy żywe, nosy orle, szczęki wydatne, a w całéj postaci coś silnego i śmiałego. Przeciwnie u Turków wyższych klas, zadawnione zepsucie i znaczna przymieszka obcéj krwi, wytworzyły po większéj części postacie ociężałe z powodu tuszy, małe głowy, nizkie czoła, oczy zaćmione, usta obwisłe. Téj różnicy fizycznéj odpowiada równie znaczna a może i daleko większa moralna, zachodząca między Turkiem starodawnym, szczerym, prawym, uczciwym, a tą istotą wątpliwą, bezbarwną, niesmaczną, nazywaną Turkiem zreformowanym. Ztąd wyradza się wielka trudność w badaniu ogólnikowém ludu tureckiego, bo niepodobna zbliżyć się i poznajomić z tą częścią narodu, która przechowała nienaruszenie charakter narodowy, zaś owa druga połowa, z którą łatwo przychodzi zawiązać stosunki i studyować, nie odzwierciadla wiernie ani ducha ani pojęć narodu. Jednak ani zepsucie ani nowa powłoka cywilizacyi europejskiéj nie ogołociły jeszcze Turków klas wyższych z owéj jakby powagi i nie określonéj smętności cechującéj lud prosty, co w ogóle korzystne jakieś wywiera wrażenie.

Z pozoru możnaby sądzić, że turecka ludność Konstantynopola jest najgrzeczniejszą i najpoczciwszą w Europie; nawet w najodleglejszych i najsamotniejszych ulicach Stambułu, cudzoziemiec nie potrzebuje obawiać się aby był znieważonym; zwiedzając meczety, nawet podczas odbywanych w nich modłów, można być pewnym poszanowania—Turek w naszych kościołach większe bez wątpienia sprawiłby zamieszanie. Wśród największego tłumu, nie spotkasz zwróconego na siebie, nietylko już zuchwałego, ale zbyt ciekawego spojrzenia; głośny śmiech nader rzadko da się posłyszéć, a rzadziéj jeszcze zobaczyć prostaków kłócących się na ulicy. Nigdy także nie zobaczy na ulicy rażącéj jakiejś nieprzyzwoitości; na publicznych rynkach zachowują się równie poważnie jak w meczetach. Natrętne tłumy nie zapierają ulic; najwięksi biedacy mają twarze, ręce i nogi czyste; nie widać łachmanów, a w razie spotkania, przynajmniéj odznaczają się czystością — wszystko zdradza powszechne i wzajemne poszanowanie się wszystkich klas społecznych.

Jednak piękny ten pozór pokrywa głębokie skażenie, ku czemu posługuje zupełne rozdzielenie obu płci. Bezczynność przedstawia się za spokój, pycha za poczucie godności, ta niby powaga rozlana w twarzach, zdająca się zdradzać głębokie myśli, maskuje moralną bezwładność ducha, a owo niby umiarkowanie i wstrzemięźliwość jest tylko zupełnym brakiem prawdziwego życia.

Charakter, usposobienia, filozofia, całe życie tego ludu, przedstawia dokładnie pewien stan ciała i ducha, tak zwany *kief* będący najwyższą ich rozkoszą. Zjeść umiarkowanie, wypić szklankę czystéj zimnéj wody z fontanny, odmówić modlitwy, czuć że ciało wypoczywa a sumienie jest spokojne, i siedzieć tak w cieniu drzew, w miejscu z którego się roztacza rozległy horyzont, śledzić okiem lot gołębi nad blizkim cmentarzem, patrzéć na oddalone okręta, na brzęczące owady, obłoki przesuwające się po niebie i dymek z narghille, myśléć nawiasem o Bogu, o śmierci, o znikomości dóbr ziemskich i słodkim spokoju przyszłego życia — oto jest *kief*. Być bezczynnym widzem na wielkiéj widowni świata — oto wielkie, najgorętsze pragnienie Turka. A pociąga go ku temu jego dawna natura opieszałego i kontemplacyjnego pasterza, jego religia wiążąca człowiekowi ręce i zdająca wszystko na Boga, jego tradycya żołnierza islamu, którego obowiązkiem koniecznym i wzniosłym jest jedna tylko działalność, mianowicie; walczyć i zwyciężyć za wiarę poczem wolno mu gnuśniéć bezczynnie. Turek niezachwianie wierzy w fatalizm; według niego człowiek jest tylko ślepém narzędziem w rękach Opatrzności; nie potrzebuje się miotać aby popchnąć sprawy ludzkie innym torem niż jest zapisane w niebie; świat jest karawan-serajem; Bóg stworzył człowieka aby przeszedł przez świat modląc się i wielbiąc Jego dzieła; nie sprzeciwiajmy się woli Bożéj, nie podnośmy co upada, niech mija co ma przeminąć — nie trudźmy się odnawianiem ani konserwowaniem,

Tak więc największém jego pragnieniem jest spokój, i dla tego Turek najstaranniéj unika wszelkich wrażeń lub wstrząśnień, mogących zakłócić spokojną harmonią jego życia, i dla tego nie trawi go żądza wiedzy, gorączka zysku, zamiłowanie w podróżach ani téż nieokreślone i nienasycone żądze miłości i ambicyi. Zaspokojenie licznych potrzeb intelektualnych i fizycznych, dla których walczymy z ciężką nieraz pracą, jest dla Turka najzupełniéj niepojęte — podobna praca jest w jego przekonaniu oznaką pewnych chorobliwych zboczeń umysłu. Zdaje mu się że sam tylko spokój może być ostatecznym celem wszelkich zabiegów i trudów, a ponieważ posiada go bez nich, więc uznaje że daleko jest rozumniéj i pożyteczniéj, dochodzić do niego krótką i łatwą drogą jaką on przebywa. Najwznioślejsze prace myśli i rąk ludów europejskich, wydają mu się dziecińśtwem, bo w ich wynikach nie dostrzega nic lepszego jak jego idealna pomyślność. Nie pracując, nie zna wartości czasu, a skutkiem tego nie może pragnąć ani umiéć ocenić wielkich wynalazków zmierzających do postępu życia i ludzkości. Wiara w fatalizm każe mu wierzyć w daremność wszelkich myśli i planów na przyszłość, te téż każdą rzecz o tyle tylko ceni o ile zapewnia mu pewne natychmiastowe korzyści czy użycie, i dla tego uważa za marzyciela każdego Europejczyka który przewiduje i przysposabia, rzuca fundamenta gmachu którego końca nie doczeka, trawi swoje siły i poświęca spokój dla jakiegoś wątpliwego i odległego celu. To téż uważa nas w ogóle za rasę płochą, lekkomyślną, zarozumiałą i skarłowaciałą, któréj całą zaletą znajomość rzeczy ziemskich. według niego godnych pogardy, do których ucieka się tylko z musu aby nie stać niżéj od nas.

Trudno nie przyznać że wielka większość prawdziwych Turków, tchnie tylko pogardą dla Europejczyków — przekonywa się o tém każdy kto choćby czas jakiś przebywał wśród nich, a pogarda ta, prócz wielu innych powodów. zasadza się głównie na tym nader znaczącym według nich fakcie: że, pomimo względnie małéj ich liczby, już od czterech wieków walczą z większą częścią Europy, odmienną wyznającéj wiarę, i mimo tylu zmian i tylu upadków, oni jednak się utrzymują. Mniejszość, pewna warstwa narodu pojmuje że zawdzięczają to zazdrości i niezgodzie szarpiącéj państwa europejskie—większość przypisuje to swéj wyższości a naszemu znikczemnieniu. Dumni i pyszni z rodu, utwierdzeni w téj pysze długiem rozpościeraniem swéj władzy, nawykli powtarzać w Imieniu Boga że należą do plemienia wojowniczego, że zrodzeni są do wojowania a nie do pracy, a nadto przyzwyczajeni żyć z pracy zwyciężonych ludów, nie może im się pomieścić w głowie, aby podbite przez nich ludy mogły domagać się jakichkolwiek praw do równości cywilnéj.

Wierząc ślepo w widome rządy Opatrzności, uważają podbój Europy za spełnienie się wyroków Boga; w dowód swéj szczególnéj łaski, Bóg dał im panowanie nad światem, panują więc z mocy prawa Bożego i o to przekonanie rozbijają się wszelkie względy cywilizacyi, prawa, równości. Cywilizacyą uważają za wrogą potęgę pragnącą pobić ich bez walki. zwolna i zdradziecko, aby ich zniżyć do rzędu ich podwładnych i wydrzéć im przewagę; obawiają jéj się więc a nie mogąc odeprzéć siłą, przeciwstawiają jéj potędze, nieprzeparty opór swéj bezwładności.

Z drugiéj znów strony klasa ludności która przyjęła niby cywilizacyą europejską i przedstawia w ich oczach stan do jakiego Europejczycy chcieliby przywieść wszystkie dzieci proroka, ci współziomkowie którzy chodzą w paltotach i jasnych rękawiczkach, paplą po francuzku i nie chodzą do meczetów, nie mogą budzić w nich chęci wstąpienia w ich ślady. I pod tym względem wszyscy zgadzają się z nimi: że ci nowi Turcy, nie warci starych. Przyjęli oni europejskie suknie, wygody, próżność i zdrożności, ale dotąd jeszcze nie przejęli naszych uczuć ani pojęć. Starzy Turcy widzą że zatarły się w nich dawne cnoty, a miejsce ich zajęła chciwość, chęć zysków, małpowanie Franków, pogarda tradycyi narodowych; że powstał rodzaj *złotéj młodzieży* czelnéj i zepsutéj, niewartéj swych naddziadów. Ubierać się, żyć i postępować jak oni, jest to według starego Turka być ucywilizowanym, a wszelkie postępki i zwyczaje potępione, już nietylko sumieniem muzułmanina ale każdego uczciwego człowieka, nazywa on życiem, zachowaniem i postępowaniem na sposób europejski, i wszelkie innowacye uważa za przeciwne tureckiemu charakterowi i dobru. Rząd chce reform, lud jest konserwacyjny; posiew, nowych idei pada na grunt twardy i przepada z powodu suszy, i dla tego próby reformatorskie stosowane od lat pięćdziesięciu, zaledwie przelotnie i powierzchownie przesuwają się po narodzie. Zmieniono nazwy ale rzeczy pozostały jak były. Małe przeprowadzone zmiany dokanane zostały gwałtownie i temu to szkicowi reform lud przypisuje coraz większe rozzuchwalenie niewiernych, coraz więcéj szerzące się zepsucie i wszelkie klęski ich dotykające. Po co, mówią starzy Turcy, po co zmieniać nasze instytucye którym zawdzięczamy zwycięztwo i panowanie nad światem? po co przyjmować takie co nie zdołały się oprzéć ciosom naszego oręża?

Niepodobna obiecywać sobie aby stan rzeczy jaki nieruchomie przetrwał całe wieki, zmienił się wprzeciągu kilku lat. Lekkie kolumny, awangarda cywilizacyi, mogą postępować tak spiesznie jak zechcą, ale główny korpus dźwigający jeszcze ciężar średnio wiecznych zbroi, albo stoi na miejscu albo tylko powoli i bardzo zdaleka podąża za nimi.

I pod tym względem wszyscy głębsi dostrzegacze jednakowo się zapatrują: trudniéj daleko przybyszowi wyrobić sobie własne zdanie o indywidualnéj wartości Turków. Jeżli pyta o nich rajasów, usłyszy tylko zniewagi jakiemi zawsze uciemiężeni orzucają ciemięzców; mówiąc z mieszkańcami europejskiéj kolonii, nie mających powodu ani obawiać się ani nienawidzić Turków, a natomiast nie bez przyczyny zadowolnionych z obecnego stanu rzeczy, słyszy się w ogóle sąd zapewnie za nadto przy-

chylny. Tacy przyznają że Turek jest prawy, uczciwy, otwarty i głęboko religijny. Ostatnia ta zaleta maleje przecież, jeźli zwrócimy uwagę: że religia nie tylko nie krępuje ani dążności jego ani interesów, ale przeciwnie pochlebia zmysłowości, usprawiedliwia ociężałość i niedbalstwo, uświęca tyranią, obstaje więc przy niéj zacięcie, bo pojmuje że narodowość jego wiąże się z jéj dogmatem a przyszłe losy z jego wiarą. Co do prawości i uczciwości w wychodzeniu z chrześcianami, utrzymują że jest ona więcéj może wynikiem pychy aby nie poniżać się w obec tych, których w swojém przekonaniu przewyższają pochodzeniem i wartością moralną.

Trzeba jednak przyznać Turkom piękną cnotę miłosierdzia, będącą może jedynym balsamem na niezliczone rany źle uorganizowanego społeczeństwa, choć z drugiéj znów strony daje podnietę próżniactwu i pomnaża nędzę; zdobią ich także piękne uczucia znamionujące szlachetność duszy: umieją być wdzięczni za najlżejsze oddane sobie usługi; szanują pamięć zmarłych; są uprzejmi, gościnni, nie dręczą zwierząt. Chwalebném jest także ich poczucie równości odnoszące się do wszystkich klas społecznych.

Wszystkie jednak te przymioty przesuwają się, że tak powiem, po nad powierzchnią ich dusz, w niezakłóconym spokoju zwyczajnego życia, ale w ich gruncie drzémie gwałtowna natura azyatycka, wraz ze swym fanatyzmem, barbarzyństwem dzikiego żołnierza, które rozbudzone nagle pokażą innego człowieka. I dla tego to nie bezzasadnie mówią „że Turek jest bardzo łagodny póki nie ścina głów“ — pod Turkiem zawsze jeszcze kryje się Tatar.

Życie społeczne zaledwie ogładziło nieco starożytnego mieszkańca chat i stepów; duchowo Turek żyje dotąd w mieście tak prawie jak żył w swojém plemieniu, żyje wśród ludzi ale samotny ze swémi myślami. Prawdziwe życie społeczne nie istnieje u Turków; życie obu płci płynie jakby dwie równoległe rzeki, których wody łączą się tylko tu i owdzie przez jakieś podziemne komunikacye. Mężczyźni uczęszczają do siebie ale nie łączy ich jedność myśli, nie wyjawiają sobie wzajemnie swych uczuć i pojęć; rozmowa ich czołga zawsze po ziemi, i najczęściéj przedmiotem jéj potrzeby materyalne. Turek nie lubi i nie szuka rozmowy Europejczyków; bo i jéj i ich nie rozumi i nie lubi; toleruje Armeńczyka, pogardza Żydem, nienawidzi Greka, niedowierza Frankom. Pozwala im dowodzić, przekonywać, posługuje się jeźli może wyciągnąć jakąś korzyść; przejmuje innowacye zapewniające natychmiastowy pożytek; słucha spokojnie wykładu dobrodziejstw cywilizacyi; zmienia nawet niektóre zwyczaje i ceremoniały, ale w gruncie pozostaje zawsze jednaki.

Rozum przecież odrzuca ze wstrętem mniemanie, aby powolne i ciągłe działanie cywilizacyi, nie miało w jakimś nieokreślonym przeciągu czasu zaszczepić iskierki nowego życia temu olbrzymiemu azyatyckiemu żołnierzowi, drzemiącemu na dwóch kontynentach i przebudzającemu się wtedy tylko gdy trzeba wydobyć miecz z pochwy. Lecz jeźli rozważymy dotąd dokonywane próby i otrzymane z nich rezultaty, ów przeciąg czasu przedstawia nam się tak niesłychanie długi, względnie do potrzeb i pragnień chrześciańskich ludów Wschodu, że prawie rozwiewa nadzieję aby kwestya ta zajmująca całą Europę, mogła być rozwiązaną przez progresyjny rozwój cywilizacyi ludu tureckiego.

VI.
Konstantynopol po turecku Stambuł, albo Islambol, (obfitość islamu).

Zapuściwszy się w jedną z tysiącznych uliczek spuszczających się wężowato ze wzgórz Konstantynopola, tak doskonały spokój otacza przybysza iż może dobrze rozejrzéć się po tym zazdrośnym i tajemniczym Wschodzie, który z przeciwnego wybrzeża Złotego Rogu można widziéć tylko przelotnie, przez gwar życia europejskiego. Tu wszystko jest czysto i ściśle wschodnie; po upływie kwadransa nie spotka się nikogo, żaden szmer nie dochodzi. Tu i owdzie stoją małe drewniane domki, pomalowane w najrozmaitsze kolory, których pierwsze piętra wystają nad parter, drugie po nad pierwsze. W oknach umieszczone są jakby trybuny oszklone ze wszystkich stron i opatrzone gęstą drewnianą kratą, które wyglądają jakby małe domki, przyczepione do głównych domów, a ulicom nadają szczególniejszą smętną i tajemniczą postać. W niektórych miejscach ulice są tak wązkie, że wystające części przeciwległych domów prawie stykają się z sobą, i przechodzi się pod temi klatkami ludzkiemi, pod stopami Turczynek przepędzających w nich większą część dnia i tylko wąziutki pas nieba widząc w górze. Wszystkie drzwi są zamknięte, okna parterowe gęsto zakratowane, wszystko tchnie niedowierzaniem i zazdrością, ulice zakrawają na klasztory. Chwilami dolatuje wybuch śmiechu; podniosłszy oczy można gdzieś przez szparę dostrzedz warkocz lub błyszczące oko, znikające natychmiast. Niekiedy można usłyszéć jakąś ożywioną rozmowę, prowadzoną z jednéj na drugą stronę ulicy, która ucichnie gdy tylko da się słyszéć odgłos kroków. Nikogo nie widać a tysiąc oczu na nas patrzy; choć sami czujemy się wśród tłumu; zamykające się okno lub otwierające drzwi zdają się wielki sprawiać hałas... Jednak ulice te nie są samotne, najmniejsza rzecz je ożywia i tworzy maleńki pełen życia obrazek. Niekiedy nagle rozlega się odgłos trąbki i tentent kopyt końskich — oglądamy się z zadziwieniem: to wielki omnibus posuwający się na relsach których nie dostrzegliśmy, omnibus który zapełniają Turcy i Frankowie, prowadzony przez umundurowanego konduktora. Trudno określić wrażenie jakie sprawia ten widok na téj ulicy; pytamy siebie czy to jakiś żart czy omyłka, wpatrujemy się w omnibus jakby w coś czegośmy nigdy nie widzieli, a gdy przejedzie zdaje nam się że żywy obraz Europy przesunął się przed nami, i znów jakby za zmianą dekoracyi jesteśmy w Azyi.

Z tych samotnych uliczek wchodzi się na małe otwarte place, zacienione olbrzymim platanem; z jednéj strony jest fontanna u któréj poją wielbłądy, z drugiéj kawiarnia z rzędami rozrzuconych przed drzwiami materacy, na których spoczywa rozciągnięty Turek, z fajką w ustach. Tuż przy drzwiach wznosi się wielkie drzewo figowe, opleciowe winną latoroślą, przez któréj gałęzie spadające aż do ziemi, widać w oddali lazurowe fale morza Marmora i kilka bielących się żagli. Cisza i spokój rozlegają się dokoła, przynęceni niemi idziemy coraz daléj i daléj, jakaś letargiczna senność ogarnia duszę, po upływie jakiegoś czasu tracimy poczucie godzin i odległości.

Szedłszy z pochyłości gdzie kończą się te małe uliczki — jakże to odmienny widok! Wchodzimy do jednéj z największych dzielnic Konstantynopola, przepełnionéj pomnikami nużącémi oczy, a podziw i uwielbienie natłokiem piękności. Co krok napotykamy wspaniałe meczety, kioski, minarety, arkadowe galerye, fontanny z marmuru i lapis-lazuli, mauzolea sułtanów połyskujące złotemi arabeskami i napisami, mury pokryte mozajkami, dachy z rzeźbionego drzewa cedrowego, a to w pośród bujnéj roślinności, wyglądającéj z po za murów i złoconych balustrad ogrodów i roztaczającéj dokoła upajające wonie. Na tych ulicach spotyka się co krok karety baszów, oficerów, urzędników, adjutantów sułtana, eunuchów wielkich domów, całe szeregi służby i różnych pasożytów, biegających z jednego do drugiego ministerstwa. Tu znać jest i tu podziwiać musimy stolicę wielkiego państwa, w całym blasku jéj przepychu.

Témi ulicami dochodzi się do wielkich placów na których wznoszą się meczety sułtańskie, zdumiewające swym ogromem. Każdy z nich jest jakby środkowym punktem miasta, szkół, szpitali, kolegiów, bibliotek, magazynów, kąpieli, kryjących się prawie pod ogromną kopułą pod którą się ugrupowały. Architektura, z pierwszego wejrzenia bardzo prosta, odznacza się jednak wielką różnorodnością szczegółów. Patrząc na te powietrzne galerye, portyki, łuki, minarety, stalaktytowe kapitele, monumentalne bramy i fontanny jakby pokryte koronką, a wszystko przepyszne, ocienione dębami, brzozami, cyprysami, z pośród których wylatują stada ptaków unoszących się w około kopuł i miłym świergotem zapełniających przestrzenie, zaczynamy doświadczać czegoś głębszego i silniejszego nad poczucie piękności.

W ocienionych dziedzińcach widać Turków odbywających swe ablucye przy fontannach; daléj żebraków przykucniętych pod filarami, zawoalowane kobiety przechodzące się wolno pod arkadami, a po nad tém wszystkiem unosi się jakiś cichy powiew zarazem smutku i rozkoszy: nie pojmując dobrze przyczyn, umysł nasz zastanawia się i pracuje jakby nad rozwiązaniem zagadki. Czujemy się jakby odosobnieni, przeniesieni w inne czasy i do innego świata, do Stambułu Solimana wielkiego i Bajazeta II-go i prawie ośłupienie nas ogarnia, gdy minąwszy ten plac i straciwszy z oczu te olbrzymie pomniki potęgi Osmanlisów, ujrzymy się wśród nędznego, drewnianego, walącego się Konstantynopola, pełnego brudów i nieporządków.

Żadna stolica nie odzwierciadla tak wiernie jak Konstantynopol natury i filozofii swego ludu. Co tylko jest wzniosłego, wielkiego i pięknego, należy do Boga lub do Sułtana jako Jego przedstawiciela na ziemi, zresztą wszystko jest nietrwałe i przemijające i nosi na sobie cechę głębokiego lekceważenia spraw tego świata. Pokolenie pasterskie zamieniło się w naród, ale wrodzone mu zamiłowanie wiejskiéj przyrody, kontemplacyi i bezczynności, zachowało metropelli wejrzenie obozowiska; Stambuł nie jest miastem, nie pracuje, nie myśli, nie tworzy; cywilizacya wyłamuje jego bramy i zdobywa ulice, a on drzémie i marzy w cieniu meczetów i nie stawia oporu. Jest to gród bez spójni, rozproszony, bezkształtny, przedstawiający raczéj postój wędrownego plemienia niżli potęgę ustalonego państwa: raczéj kolosalnym szkicem metropolli niżli wielkiém miastem. Kto go nie zwiedził nie może miéć o nim pojęcia.

(d. c. n.)

Pogawędka
o paryzkich rzeczach.

Jakkolwiek piszę z miejsca wielkiego ruchu społecznego, o politykę jednak nie zawadzę ani odro-

binki. Macie jéj dosyć aż do znudzenia w gazetach gryzenie więc tych wiór bez smaku i przelewania z pustego w próżne, im zostawiam najzupełniéj. Wichrzyciele zwani inaczéj konserwatystami, przez ostatnie wybory usunięci zupełnie od kierownictwa politycznego lamentują okropnie.

Ostrzegano ich nieraz o fałszywym kierunku, ale były to głosy wyjących na puszczy. Najwymowniejsza przestroga wyszła z ust jednego z najsławniejszych paryzkich kaznodziei, nieboszczyka księdza Gratry, znanego powszechnie z wysokich cnót chrześciańskich, którego nikt nie mógł posądzić o tendencye rewolucyjne.

Przytoczę tu dosłownie jego zdanie o téj kwestyi, wielkiéj wagi i doniosłości.

„Wszystkie wielkie prądy powstające w ludzkości, mówi ksiądz Gratry, mają źródło swoje w Bogu. W miarę posuwania się ludzkości naprzód, Chrystus żąda coraz pełniejszego rozwoju swobody dla ludzi i dla narodów, wedle sprawiedliwości i prawdy. Nie ulega to wątpliwości, że zły duch naszego wieku psuje i kazi ciągle ruch idący od Boga, to też, nie ruch sam zwalczać należy, ale zepsucie i przewrotność które go przetwarzają. To jednak pewna, że póty nie zdołamy zwyciężyć złego, poki nie zjednoczymy się z ruchem, przeciw któremu walczyliśmy dotąd na ślepo.“

Te wzniosłe słowa, były stanowczém wezwaniem zastąpienia fałszywego konserwatyzmu, prawdziwym opartym na duchu ewangelii, ale, niestety, ten wyższy konserwatyzm jeszcze się nie narodził a historya fałszywego konserwatyzmu, jaki się praktykuje od wieków, jest ponura i gorsząca. We wszystkich epokach, fałszywi konserwatyści nosili zawsze jedną i tę samą cechę wsteczności i sowiéj ślepoty. Kto dał Sokratesowi trucizny? *oni*. Kto ukrzyżował Chrystusa? *oni*. Kto, w Imię Boga miłości, miłosierdzia i prawdy, nawracał heretyków na wiarę kleszczami, toporem, i spalił żywcem setki tysięcy ludzi? oni. Kto wprowadził do prawodawstwa torturę? Kto spalił Joannę d'Arc? oni i zawsze oni,

Po za obrębem polityki, na porządku dziennym Paryża, jest obecnie owa szalona narodowa loterya, która miała się składać z dwóch miljonów biletów, a liczy ich dziś dwanaście miljonów. Szesnastego stycznia paryżanie zostali przypuszczeni do oglądania wystawy losów, uorganizowanéj w przemysłowym gmachu, na polach Elizejskich.

Prawie cała zachodnio-północna część jego zawalona jest tysiącami najrozmaiszych przedmiotów, zacząwszy od skrzynek z pasztetami, z truflami, zwierzyną, z cukierkami i t. d. i t. d. których liczba jest nadzwyczajna, aż do srebrnego serwisu i brylantowego strumienia, płeć piękna wzdycha szczególnie do strumienia, a płeć brzydka, pozytywniejsza, marzy o wygraniu serwisu gdyż przedstawia on wartość 125,000 fr. ale niestety, wiele jest powołanych a mało wygranych. Najgrubszy los wygra zapewno Rotszyld, a brylantowy strumień dostanie się żonie jakiegoś finansisty, bo wiadomo że woda płynie zawsze do rzeki.

Nie jeden właściciel biletu który liczy na serwis, straci swoją stawkę, lub wygra obróżę na psa którego nie posiada, a nie jedna piękna dama wzdychająca do owego strumienia, wygra flaszkę koniaku, lub skrzynkę z truflowanymi kuropatwami które po dwumiesięczném przebywaniu między czterema deskami, będą dobre... do wyrzucenia za okno.

Okazy srebrne złote i brylantowe, pomieszczono w dwóch kwadratowych salach.

Każda z sal jest zapełniona najrozmaitszemi przedmiotami, ale wszystko pomieszane razem bez symetryi i bez najmniejszéj harmonii, przedstawiają obraz haotyczny.

Kolekcya obrazów, piękna i liczna, przedstawia się najwybitniéj.

Wszystkie powyżéj wymienione okazy, znajdują się na pierwszem piętrze. Druga część wystawy jest na dole.

Wzdłuż ściany, ustawiono 60 powozów najrozmaitszych gatunków i piękne kolasy do podróży, lżejsze do wizyt w mieście, landary do spacerów, eleganckie jednokonne i dwu konne nakryte powoziki miejskie (Coupé) daléj, zgrabne lekkie powoziki, tak zwane, Wiktorye, kabryolety, faetony, karykle i parę ekscentrycznych dryndulek, których nazwać nie potrafię.

Wzdłuż powozów ustawiono 30 posągów między którymi jest kilka prawdziwie pięknych. W ich liczbie znajduje się cudna kreacya, pana Czyżowa, która figurowała na wystawie powszechnéj, w sekcyi rosyjskiéj. Jest to brązowa statua, naturalnéj wielkości, przedstawiająca kilkunastoletnią dziewczynkę która przechodzi po dylu rzeczułkę, obie ręce wzniesione trochę do góry dla równowagi, nadają téj uroczéj postaci charakter tak naiwny, tyle jest w niéj naturalności i wdzięku, że zdaje się jakby żywa. Jest to prawdziwe arcydzieło, tak pod względem estetycznym, jak równie i technicznym.

Po jednéj i drugiéj stronie tych posągów, znajdują się; żelazne kanapki i krzesła ogrodowe, namioty, rozmaite ulepszone narzędzia rolnicze, machiny, i nareszcie kilka małych i dużych, eleganckich łódek i t. p.

Porównawcze badania, wszystkich w ogólności industryi Europejskich, jakiemi się zajmowali podczas powszechnéj Wystawy Paryzkiéj, niektórzy sumienni specyaliści francuzcy, doprowadzili ich do przekonania, że w ostatnich dziesięciu latach, industrye artystyczne cudzoziemskie, postąpiły stosunkowo nierównie więcéj niż Francuzkie i jeżeli ten postęp zagraniczny utrzyma się i na dal w téj saméj progresyi, a Francya licząc na swoją tradycyjną wyższość w industryach artystycznych, nie podwoi wysileń dla utrzymania swojéj renomy, to przyszła wystawa powszechna, może jéj zgotować bolesne rozczarowanie. Ta uzasadniona uwaga, które stanął na świadectwo tryumf cudzoziemskich malarzy na wystawie Paryzkiéj i inne cząstkowe tryumfy cudzoziemskie, znalazł poparcie wszystkich ludzi poważnych, mających na celu dobro kraju, i wytworzył się z tego ruch zbawiennéj reakcyi przeciw wszelkim zastojom, mającym swoje źródło miłości, własnéj narodowéj. Jakoż, na zasadzie starego francuzkiego przysłowia: „qui s'arréte, récule,“ zawiązało się w Paryżu stowarzyszenie, którego celem jest ułatwiać specyalistom i publiczności, wszelkie możebne środki do studyów artystycznych, które, w kraju gdzie industrya ma za podstawę sztuki piękne, są niezbędném warunkiem jéj postępu.

Wiadomo, że we Francyi, każda idea, zła czy dobra, zamienia się natychmiast w czyn. Innicyatorowie więc tego ruchu, dali mu praktyczne zastosowanie, otworzeniem w końcu zeszłego tygodnia świetnéj i ciekawéj wystawy, pod nazwą: „*Exposition des arts décoratifs*“ odpowiadającéj zupełnie ich celowi. Ta wystawa ma miejsce w pawilonie Flory, który był niegdyś jednym z narożnych pawilonów Tuileryjskiego pałacu a od czasu kataklizmu 1871 r. z którego wyszedł cały, stoi sobie na boku i spogląda zdrowemi oczami na ruiny królewskiego gniazda.

Sztuka dekoracyjna, przedstawiona tam jest we wszystkich swoich gałęziach i odcieniach, zacząwszy od posągów, aż do pysznych jedwabnych materyi i koronek. Ciekawe są bardzo malowidła dekoracyi teatrów, i wewnętrznego urządzenia pałaców Weneckich, wschodnich i meczetów, przedstawionych w zmniejszeniu. Architektura zachodnia i wewnętrzna urządzenia hotelów Paryzkich z planami ogrodów, przedstawione są także w zmniejszeniu, z największą dokładności ą. Kolekcya ceramiki jest przepyszna. Dywany, czyli raczéj obicia, na kształt Gobelinów, zwane Aubusson, są prawdziwie zadziwiającéj piękności. Jednem słowem nie wcisnęło się do téj wystawy nic miernego.

Te cudne zbiory, najwytworniejszych szczegółów wszystkich w ogólności industryi artystycznych, są jeśli można się tak wyrazić, plastycznym kursem estetyki i nie można wątpić, że przyczyniły się do upowszechnienia we Francyi dobrego gustu, jak równie do podniesienia rozstrojonego dziś ducha artyzmu.

Wystawa, taka jak jest obecnie, nie potrwa dłużéj nad kilka miesięcy, gdyż okazy z których się składa (z małym bardzo wyjątkiem) są pożyczone: jedne pochodzą ze zbiorów prywatnych, a inne od fabrykantów. Liczba zaś okazów które stowarzyszenie nabyło na własność, jest zbyt szczupła, aby mogła stanowić specyalne muzeum, ale komitet dyrygujący spodziewa się że fundusze napłyną, i że mały ich zbiorek zmieni się z czasem w stałą artystyczną wystawę, na wzór Londyńskiego Kenigston Muzeum

Artyści paryzcy pracują zacięcie w téj zimowéj porze roku, dla zrehabilitowania, na przyszłéj dorocznéj wystawie sztuk pięknych w miesiącu maju, swojéj reputacyi, trochę skompromitowanéj na wystawie powszechnéj, Chociaż prawdopodobną jest rzeczą, że bitwa pod Grunwaldem przyniesie im nową konfundę.

Widziałem niedawno, u jednego ze znajomych mi artystów bardzo ciekawy i zabawny alegoryczny rysunek, wykonany ołówkiem, który ma być przeniesiony na płótno i pokaże się zapewne na majowéj wystawie. Przedstawia on konanie zeszłorocznéj wystawy powszechnéj.

Na łożu zbudowanem z trofeów przemysłowych, leży młoda i piękna kobieta, z wyciągniętą ręką nad głową klęczącego tuż przy niéj dygnitarza, który z przykładną skruchą bije się w piersi. Ta kobieta jest alegoryczną postacią paryzkiéj wystawy, a pokutujący dydnitarz jest senator Krantz, który wyspowiadawszy się ze swoich architektonicznych grzechów, otrzymuje rozgrzeszenie.

Tuż za Krantz'em, w pozach melancholicznych, ze spuszczonemi głowami, stoi trzech architektów—każdy z nich trzyma w ręku różaniec i liczy pobożnie paciorki. Za nimi, skupiła się liczna falanga artystów, z obfitemi grzywami, niby lwy, każdy w pozie teatralnéj. Jeden z nich, trzyma rozwiniętą chorągiew ze złotym napisem: *Mérite personnel—compromis*. . pierwsze dwa wyrazy wypisane są dużemi literami, a trzeci, drobnym charakterem.

U nóg konającéj wystawy stoi grupa złożona z samych przemysłowców, którzy otrzymali pierwsze nagrody. Każdy z nich wypasiony jak na zarznięcie i uśmiechnięty, spogląda dumnie przed siebie. Za nimi duża gromada ludzi w bluzach, smutna i ponura, wygląda niby orszak pogrzebowy. Są to robotnicy, których pracy, winna owa szczęśliwa grupa, swój dobry humor i otrzymane nagrody. Każdy z tych biedaków skrobie sobie głowę, a spuszczone ich oczy tłomaczą, że przyszłość nic im nie obiecuje.

W pewném oddaleniu, za łożem konającéj wystawy, niezliczone mnóstwo cudzoziemców obróconych do niéj plecami, zdąża gimnastycznym krokiem ku stacyi kolei żelaznéj, która ukazuje się w dalekiéj

perspektywie. Tuż przy niéj, z dymiącym kominem stoi pociąg gotowy do podróży.

Charatkerystyka tych cudzoziemskich typów schwycona jest tak doskonale, że poznać można odrazu, do jakiéj narodowości każdy z nich należy. Typy angielskie są najpocieszniejsze. Złodzieje korzystają z zacietrzewienia podróżnych, wyciągają im z kieszeni portmonetki, ale każdy z nich jest najhaniebnéj okradziony, gdyż wszystkie portmonetki są próżne. Mimika tych rzezimieszków, wytrząsających w powietrzu sakiewki, dla pokazania że nic w nich nie znaleźli, jest najkomiczniejszym szczegółem z całéj téj kompozycyi.

Allegoryczna grupa stojąca na uboczu dopełnia całości obrazu. Jest to grupa złożona z 7miu postaci, uosobiających siedm grzechów śmiertelnych, które widząc swoich cudzoziemskich klientów uciekających tak spiesznie z Paryża, lamentują, załamując tragicznie ręce.

Jeśli artysta odtwarzając ten obraz na płótnie, potrafi uwydatnić farbami charakterystykę typów, równie wybitnie, jak mu się to udało ołówkiem to będzie mógł zażądać śmiało za swój obrazek, tyle dolarów lub funtów sterlingów, ile mu się spodoba, bo z pewnością żaden Jonathan, ani John Bull, nie pożałuje złota dla zapewnienia sobie tak higienicznego obrazu! Nie może bowiem być nic zbawienniejszego dla angielskiego żołądka, który pochłonął funt rozbefu i taką samą dozę plumpuddingu, jak widok takiego obrazu, gdyż wiadomą jest rzeczą, że ani pastylki z Vichy ani żadne inne, nie ułatwiają tak trawienia jak wesoły humor przy obiedzie.

Wyszło tu wiele nowych książek, różnéj treści, w liczbie dzieł politycznych, najpierwsze trzyma miejsce, książka pod tytułem „*Etudes sur l'Empire d'Allemagne*,, któréj autorem jest pan J. Cohen znany publicysta.

Henryk Heine, mówi pan Cohen, który znał dobrze ducha swoich ziomków, zdefiniował go w następujący sposób.

„Myśl poprzedza czyn, tak samo jak błysk poprzedza strzał piorunowy. Piorun w Niemczech, jest rzec można piorunem niemieckim: ciężki i nieskory do ruchu, warczy i zbliża się powoli, ale z pewnością przyjdzie. Skoro usłyszycie straszne pękanie bezprzykładne w dziejach świata, wiedzcie o tém, że doścignął już swego celu. Na ten odgłos orły spadną nieżywe z chmur na ziemię a lwy afrykańskie jak trwożliwe pieski, wziąwszy ogon pod nogę wślizną się do swoich królewskich pieczar. Odegra się w Niemczech dramat, obok którego rewolucya francuzka, wyda się niewinną idylą.

Autor, kończy rozdział o socyalizmie, następującą uwagą.

„Gdyby zachciało się rządowi Niemieckiemu jak się to już zdarzyło w innych kwestyach, oskarżać pewne narody ościenne, że są gniazdem socyalistycznéj epidemii, niech spojrzy z zimną krwią na swoje położenie wewnętrzne, a przekona się, że zło zapuściło najgłębiéj korzenie, na jego własnym gruncie."

Gdyby autor przy wszechstronnéj znajomości społecznego i politycznego ustroju Niemiec, posiadał odpowiednie „criterium" do wyprowadzenia z tego wszystkiego syntetycznéj konkluzyi, byłoby to dzieło wielkiéj doniosłości, ale, niestety, nie posiada go: pomimo jednak téj ujemnéj strony jest ono bardzo nauczające i zasługuje na uznanie.

Romanse sypią się tu gradem, ale prawdziwie dobre są tak rzadkie jak pięciolistna koniczyna: bywają jednak wyjątki. Jednym z rzadkich wyjątków tego rodzaju jest romans pana Hektora Malot, pod tytułem „Sans famille."

Kiedy jedni pisarze suszą sobie głowę nad wymyśleniem jakiego effektownego przedmiotu, a inni znalazłszy przedmiot, zajęci są sporządzeniem do niego opieprzonych przypraw, pan Malot, powziął tymczasem myśl napisania romansu któryby mógł być czytany z pożytkiem, przez młode panienki i zadedykował go swojéj córce. Jest to najlepszą gwarancyą dla matek, gdyż flaga tego rodzaju nie może osłaniać podejrzanego towaru.

Bohater tego romansu jest podrzutkiem. Autor wytworzył szlachetny typ dziecka i przeprowadza go przez wszystkie ciernie życia, w taki sposób, aby każdy jego czyn był skazówką dla czytelnika, jak należy postępować w przeciwnościach, aby wychodzić z prób życia z pogodnem sumieniem i z czystem sercem.

Drugi nowy romans pod tytułem „Nini" jest wdzięcznym obrazkiem społecznym, osnowanym na tle politycznem, czyli raczéj wojennem, z epoki pruskiego najazdu. Ten romans zaleca się wybitną cechą charakterów, i żywym kolorytem a chociaż obfituje w dramatyczne epizody jest bardzo wesoły: posiada także rzadką w teraźniejszych romansach zaletę: nie ma w nim żadnych erotycznych wyskoków.

Nowy romans pana Claretie „le troisieme dessous" zasługuje także na szczególną wzmiankę. Jest to obraz z życia aktorów, czyli raczéj odwrotna strona tego co w nich błyszczy, Autor wywiązał się z tego trudnego zadania bardzo szczęśliwie, gdyż uwydatniając wstrętne typy, potrafił zachować pewną miarę i nie użył, jak się to często zdarza w realistycznych romansach, pociągających farb do malowania zepsucia.

Charaktery są narysowane wybitnie a bez przesady.

Gdyby na tym ponurem dramatycznem tle, obok niektórych postaci sympatycznych które stanowią dodatnią stronę tego romansu, znajdował się typ idealny mogący służyć za wzór artystom, to romans pana Claretie, miałby wielką doniosłość, szkoda że braknie mu tego typu.

Między najlepszymi i najnowszymi książkami moralnéj treści, przeznaczonymi do kształcenia serca i umysłu młodzieży, pierwsze trzyma miejsce, dzieło znanego z swoich pożytecznych prac pisarza, pana Legouvé, członka akademii Paryzkiéj. Autor zadedykował tę książkę swoim wnukom. Są to obrazki z codziennego rodzinnego życia pełne wdzięku, świeżości i uczucia. Pierwszy plan w każdym obrazku, jest nauką dla dzieci, perspektywa zaś tych obrazków jest nauką dla rodziców. Każda matka, a nawet każdy ojciec znajdą w téj książce wiele rzeczy do wzięcia. Nie będę się rozwodził nad szczegółowymi zaletami tego dzieła, to com powyżéj o nim powiedział wystarczy. Książka wyszła w księgarni Hetzel, pod tytułem: *Nos filles et nos fils.*

T. B. R.

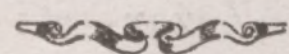


O niektórych zabytkach

literatury staro-egipskiéj

przez

L. Szczerbowicza Wieczora.



(Dalszy ciąg).

Z utworów treści religijnéj, równie jak poprzednie starożytną i najciekawszą jest tak zwana „Księga Objawienia Światła", mniéj poprawnie nazywana niekiedy „Księgą Zmarłych," a także w kształcie skróconym, „Księgą wędrówek." W skróconéj redakcyi doszły do naszych czasów liczne egzemplarze téj księgi, które zwykle kładziono razem z mumiami do sarkofagów. Autorem téj księgi miał być bajeczny Toth, zwany przez Greków Hermesem (Merkurym) trzykroć wielkim (Trismegistos); stanowiła ona jedną z 4-ch ksiąg kanonicznych o wszystkich gałęziach wiedzy i religii, które przypisywano temu bożkowi i które stanowiły niejako biblią Egipcyan. W téj najstarszéj na świecie (nie wyjmując wed) księdze religijnéj zawierają się nauki kosmogoniczne (o początku świata), teodycea (o sprawiedliwości boskiéj), teorya wędrówek dusz i kar pośmiertnych, modlitwy, opisy obrzędów i t. p. Dzieło składa się ze 165 rozdziałów, z których kilka, jak np. 17 i 64, według badań uczonych powstało za króla Hesepti z I-éj dynastyi (na 45 wieków przed Chr.) i Menkerasa (Mycerina), który wybudował trzecią z największych piramid, IV dynastyi około 4100 roku przed Chr.). Te najdawniejsze ustępy świadczą o pierwotnéj wierze w jedynego najwyższego Boga, podobnie jak przytoczone powyżéj wyjątki z Phtahotepy i napisy grobowe, w których także mowa o Bogu w liczbie pojedyńczéj. Pomimo całego licznego i dziwacznego panteonu egipskiego, pomimo grubego bałwochwalstwa mas i czci zwierząt, zdaje się że w czystszéj i tajemnéj nauce kapłanów egipskich jednobóstwo głoszone było zawsze, nawet i późniéj, a politeizm podtrzymywano tylko dla pospólstwa. Oto np. szczytne i czyste określenia bóstwa, zawarte w wymienionych ustępach.

„Jam jest Attum (nieprzystępny)' który uczyniłem niebo, który stworzyłem wszystkie istoty, który zjawiam się śród bezmiaru niebieskiego. Jam jest Ra na początku wszech rzeczy, który rządzę tém wszystkiém, co uczyniłem. Jam jest Bóg wielki, który sam rodzę. Jam jest wczoraj i wiem jutro. Ja jestem prawem istnienia wrzech rzeczy. Ja gładzę grzechy, usuwam skazy."

Te zadziwiające określenia mogą być zupełnie zastosowane do Jehowy Genezy, która nie zawiera godniejszych bóstwa pomysłów.

Wyjaśnienie krytyczne drogi, na któréj z pierwotnego monoteizmu powstał politeizm egipski, dla szczupłości źródeł, nie zostało jeszcze przez uczonych zadawalniająco dokonaném. Przypuszczają zwykle, że pierwotném bóstwem było słońce (Amun Ra), ale prawdopodobniéj, o ile tak odległe i niezbyt jasne koncepcye religijne mogą być usystematyzowane, pierwotne bóstwo pojmowano jako trójcę w jedności, a rozmaite imiona mniemanych bóstw głównych były tylko synonimami, oznaczającemi różne stosunki bóstwa w trójcy jedynego: bóstwo to zwano Ptah, jako stworzyciela, Ra, jako siłę, któréj działaczem widomym jest słońce, wreszcie Apis oznaczał wcielenie bóstwa i ofiarę Boga w cielesnéj postaci. Późniéj dopiero, gdy wzrosła liczba imion boskich, oznaczających różne przymioty i objawy bóstwa, stopniowo gmin zaczął odnosić te imiona do bóstw odrębnych, a następnie dualizm Nilu i pustyni, przeciwieństwo urodzajności i martwości, wniósł nowy pierwiastek do mytologii, nowe wyróżnienia i pomnożył panteon egipski bóstwami w gruncie kosmicznemi, tellurycznemi jak Ozyrys, Izyda, Tyfon i t. d. Zdaje się więc, że koncepcye oderwane monoteizmu były dawniejsze od tych wpływów kosmicznego dualizmu, z którego zwykle dotychczas błędnie wyprowadzano całą religią Egiptu. Stopniowe urabianie się mytów i zaludnienie panteonu egipskiego, można po części widzieć na nagrobkach, na których postacie zmarłych, początkowo samotne, zjawiają się z biegiem czasu w coraz to liczniejszym bóstw orszaku,

a w miarę rozrostu mytologii, rośnie także niepokój Egipcyan o życie przyszłe: dusze wystawione są często ścigane przez całe tłumy bóstw zagniewanych, w rozpaczy szukające przed niemi ucieczki.

O wędrówkach dusz i sądzie po śmierci, według „Księgi Zmarłych“, jako o rzeczy powszechnéj znanéj i znajdującéj się w każdym podręczniku historycznym, mówić tu nie będziemy. Przypomnimy tylko, że chociaż Egipcyanie pierwsi powzięli i wypowiedzieli jasno wiarę w nieśmiertelność duszy, jak to jednozgodnie przyznają im starożytni pisarze, a stwierdzają nowsze odkrycia i badania, to jednak pod względem indywidualnéj osobistości duszy po śmierci nie doszli do ustalonych pojęć, przynajmniéj o ile możemy sądzić o tém z „Księgi Zmarłych“. Przepisy moralne: w téj księdze zawarte, niemniéj godne są uwagi. Wypowiedziane są tu one w kształcie usprawiedliwienia się duszy przed sądem boskim: zmarły przypomina, jakie cnoty wypełniał i jakich grzechów unikał za życia mówiąc w te słowa:

„Przywiązałem do siebie Boga miłością. Dawałem chleba głodnemu i wody spragnionemu. Odziewałem nagich i dawałem przytułek opuszczonym. Nie dopuściłem się żadnéj obrazy Boga. Nie oszukiwałem i nie kłamałem. Nikogo zdradziecko nie zabiłem. Nie postępowałem z nikim okrutnie. Nie wzniecałem nigdy niepokoju. Nie byłem leniwym. Nie upijałem się nigdy. Nie dawałem niesprawiedliwych rozkazów. Nie byłem winien niestosownéj ciekawości. Nie wypuszczałem z ust czczéj paplaniny. Nie biłem nikogo. Nie dawałem nikomu powodu do strachu. Nigdy nie spotwarzyłem nikogo. Nie dopuszczałem nigdy do serca gryzącéj zazdrości. Nie mówiłem nigdy źle o królu ani o swoim ojcu. Nie zanosiłem nigdy fałszywego oskarżenia. Nigdy od ust dziecka nie odjąłem mleka. Nie przyczyniłem się nigdy do zbyt wczesnéj słabości. Nie nadużywałem władzy nad sługami i nie krzywdziłem niewolników.“

Zaprawdę, wyczerpujący to niemal obraz męża cnotliwego, skreślony na 25 wieków przed Mojżeszem, a na 40 przed Chrystusem, w którym zawiera się nawet nieco więcéj niż w dziesięciorgu przykazań i znaczna część moralności ewangelicznéj, prawie słowami ewangelii wypowiedziana.

Inny rękopism papyrusowy z rysunkami, najdawniejszy zabytek literatury illustrowanéj, zawiera opis wędrówek podziemnych słońca.

Do utworów religijnych należy także kilka przechowanych zabytków poezyi religijnéj, hymnów z czasów XII dynastyi (około 300 r. przed Chr.). We wspaniałym hymnie do słońca czytamy następujące słowa.

„Budzisz się, dobroczynny i prawdomówny Amun Ra! Postępuj, władco wieczności! Ci, którzy istnieją nasycają się tchnieniem życia. Ciebie błogosławi wszelkie stworzenie, o istoto tajemnicza, któréj obrazu nikt nie zna; o dziecię rodzące się codzień, starcze przebiegający wieczność! Ty wysłuchasz modlitwy uciśnionego; tyś łagodny dla tych, którzy cię błagają, uwalniasz bojaźliwego od przemocy zuchwałego, sądzisz potężnych i nieszczęśliwych Władco rozumu! Twoje słowo jest istnością. Ty nadajesz ruch wszystkim rzeczom. Twojém działaniom śród bezmiarów stworzone zostały rozkosze świata.“

Szczytność ostatnich obrazów poetycznych, które są zarazem głębokiemi poglądami filozoficznémi wprawia nas w słuszne podziwienie dziś jeszcze po 48 wiekach.

A oto drugi wyjątek, z innego hymnu, poświęconego Nilowi.

„Ty poisz ziemię na każdém miejscu. Tyś jest drogą niebieską, która schodzi na ziemię. Wznosisz się, ziemia pełną jest radości. Ty tworzysz wszystkie dobre rzeczy, o Panie przyjemnych i wybornych pokarmów. Występujesz z obu stron, ażeby napełnić śpichrze i zgotować pożywienie dla ubogich. Nie rzeźbią ciebie z kamienia, nie potrafią przyciągnąć cię do świątyni, nie masz mieszkania, któreby cię objęło. Ty wypijasz łzy wszystkich oczu, odpoczynkiem dla rąk ludzkich jest twoja praca dla milionów nieszczęśliwych.“

W tych ujmujących, w prostocie swojéj szczytnych słowach, nieznany poeta opiewa dobroczynne wylewy Nilu, który już uważany był za bóstwo.

(d. n.)

Nowe wydawnictwa.

Nauka robienia kwiatów bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami, nakładem Autorki 365 obiadów. Wydawnictwo niezmiernie użyteczne, a choć rzecz cała w niéj nie przez samą p. Lucynę Ćwierczakiewiczową jedynie opracowaną została, nie zmniejsza to w niczém wartości całego wykładu. Jest on jasnym i bardzo starannie dokonanym, kwiaty z pewnością przy pomocy jego można robić i jeżeli te nie zadowolnią gustu więcéj wykwintnego, to zawsze w domowém otoczeniu praca około nich stanowić będzie miłe zajęcie. Szkoda tylko że nie pomieszczono w końcu dziełka spisu rzeczy, potrzebnego już nietylko dla sprawozdawcy ale i dla osoby pragnącéj z nauki korzystać. Przy drugiém wydaniu, które zapewne nastąpi, brak ten należy usunąć, gdyż przy każdym kwiatku podjętym do roboty trzeba przerzucać całą książkę, co ani dla niéj, ani dla palców osoby szukającéj nie jest miłém i pożądaném. Cena egzemplarza na miejscu rs. 1.

Z pamiętników plotkarza, obrazki z życia przez Autora kłopotów starego komendanta. Rzecz cała z wielkim humorem napisana, lekko, swobodnie, a osoby wprowadzone są z takiem życiem, tak wiernie przedstawione, że się zdaje, iż są znane, i że czytający tylko co się z niemi rozłączył. Wprawdzie satyra tu przemaga, obrazki więcéj ujemnemi jak dodatniémi nazwać można, mimo tego ośmieszane ciągle postacie nie obudzają do siebie niechęci; ale przeciwnie pociągają. Są to wszystko typy wiernie schwycone na gorącym uczynku: wady, narowy, widnieją w nich w każdym czynie i słowie, ale i serce poczciwe i zacność duszy co chwila na jaw występują.

Kalendarz Suwalski na r. 1879 wydany staraniem Karola Hoffmana cena kop. 37½. Skromne to bardzo wydawnictwo ale całe przejęte tak poczciwemi chęciami, tak przenika je zacna myśl że istotnie cieszyć się należy iż w mieście prowincyonalném znalazło się małe gronko osób niedotkniętych zarazą samolubstwa pozytywizmu warszawskiego. Pod względem czysto literackim, wartość pomieszczonych artykułów w kalendarzu jest rozmaitą, To też wydawca narzeka w słowie wstępném, na brak pomocy od tych których o to proszono. Wierszyków dostarczyły panie Józefa Zdżarska i Janina oraz panowie Wacław Rakowski, F. R. Leon Ćwiek i sam wydawca p. Karol Hoffman. Z prozy mieści się nakturn sceniczny p. t. Wigilia Bożego narodzenia i obrazek z życia Nad Niemnem przez Jó. Zdzarską. W obrazku nie ma wprawdzie życia dramatycznego, chociaż jest dość ujmujące obrazowanie, ale nokturno lepiéj byłoby zrobiło, pozostając nietknięte w tece Autora. To samo dałoby się powiedziéć o niektórych wierszykach. Dziejowy rozwój naszego prawodawstwa przez Kazi. Bodowskiego, cokolwiek za sucho, za kronikarsko przedstawiony, zawsze jednak nauczający i sumiennie opracowany. Kronika naukowa zebrana przez R. z Wolda M. dobrze ułożona z prawdziwym pożytkiem może być przeczytana przez każdego. Kalendarzyk ten to pierwsze podobne wydawnictwo w Suwałkach: dla zachęty byliśmy w sądzie o nim bardzo pobłażliwi, na rok przyszły słów prawdy nie przygłuszymy żadnemi względami wyrozumiałości.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani Auguście M. w Streńczyńcach na Podolu. Odpowiedź pomieściliśmy w Przyjacielu Dzieci N. 1 z roku bieżącego.

P. B. D. w Rżenie. Rubli dwa oddano biednéj wdowie stosownie do rozporządzenia, za które składa serdeczne podziękowanie. Całoroczna prenumerata została do kontroli zaciągnięta.

Pa. Józefinie A. w Iwaszkowcach. Redakcya Tygodnika Mód żadnych premiów nie obiecywała dla swych prenumeratorów,bo gdyby to spełniła toby z pewnością dotrzymała przyrzeczenia. Do redakcyi Biblioteki romansów i powieści list z załaleniem przesłany został.

Pani Ka. A. we wsi Kapitanówka. Dzieła Walter Skotta mogą być nabyte za pośrednictwem naszéj redakcyi. Serya pierwsza złożona z tomów 24 kosztuje razem z przesyłką r.s. 3. kop. 60.

Pa. R. R. w Witiniu. Oba pisma zaprenumerowano dwa ruble oddano biednym dzieciom.

Pa. Natalii D. w Nowéjgrobli. Z wierszyków na desłanych zatytułowany *Noc zimowa*, zamieścimy w Tygodniku.

Pa. G. Kierso. w Smoleńsku. Kopiejek 50 oddano ubogim.

Przyjaciela Dzieci Nr. 6 wyszedł z druku i zawiera:

Japonia (z drzeworytami). — Nad brzegiem strumienia (wiersz). — Piętnastoletni kapitan. — Czyny nauczające w Dodatku: Odrodzony, powieść L. Niemojowskiego.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami odnoszący się do N-ru 5 i 6 oraz dla Prenumeratorów na Prowincyą Spis i Cennik Nasion Domu Handlowo-Komisowego I. G. Berlińskiego przy ulicy Rymarskiéj, N. 2 w Warszawie.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 23 Января 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 6, r. 1879.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Lord Dane oddalił się szybko, jakby chciał sobie wynagrodzić czas stracony.

W kilka minut późniéj zdziwiony Michał ujrzał go wracającego z dwoma ludźmi i pustym wózkiem. Wóz ten należał do młynarza, który właśnie wysłał swych parobków po zboże, ale lord Dane spotkał ich na drodze i kazał jechać za sobą. Wóz, parobcy i jego wielmożność zatrzymali się dopiero przy Michale stojącym wśród uratowanych rzeczy, a lord Dane wskazując na nie palcem, rzekł rozkazującym tonem:

„Włóżcie to wszystko na wóz.“

Spełnili jego rozkaz i w kilka minut wszystko już było na wozie, z wyjątkiem baryłki z solonem mięsem, którą lord Dane kazał zostawić. Osłupiały ze zdumienia Michał, wtenczas dopiero oprzytomniał i zdołał przemówić, kiedy wóz już ruszył.

„Milordzie, zawołał przejęty trwogą, nie można zabierać tego, a zwłaszcza téj szkatułki. Po to mnie tu postawiono na straży, abym nie pozwolił poruszać z miejsca tych rzeczy.

— Wszystko to będzie bezpieczniejsze u mnie w pałacu, odpowiedział lord Dane.

— Ale szkatułka, milordzie... Właściciel wróci po nią za chwilę, a ja dałem mu słowo, że znajdzie ją nienaruszoną i na tém samém miejscu gdzie ją postawił. Jeżeli poskarży się memu zwierzchnikowi, mogę stracić miejsce.

— Stracić miejsce za to że nie sprzeciwiałeś się méj woli! odpowiedział lord Dane wesoło, jakby go śmieszyła naiwność Michała. Nie wiemy jeszcze do kogo należą te wszystkie przedmioty, a to pewna że będą bezpieczniejsze u mnie w pałacu niż tu nad morzem.

— Ale—wasza wielmożność raczy mi wybaczyć że ośmielam się nalegać—właściciel téj szkatułki jest nam wiadomy. Cóż powiem temu gentlemanowi skoro po nią wróci?

— Jak widzę, Michale, odpowiedział spokojnie lord Dane, nie musisz wiedzieć o tem że jako pan zamku Dane i Danesheldu, mam prawo uważać za swoją własność, wszystkie szczątki i przedmioty, jakie, po rozbiciu się statku morze wyrzuca, lub nurkowie wyciągają na brzegi, i to bez względu czy właściciele ich żyją lub nie. Jest to przywilej z którego nie zamierzam korzystać, uchowaj Boże! Ale postanowiłem aby te wszystkie rzeczy były przewiezione i złożone w pałacu, a właściciele będą mogli zgłosić się tam po nie. Możesz oświadczyć to panu Lydney.

Tymczasem wóz odjechał już daleko, i lord Dane pośpieszył za nim, pozostawiając biednego Michała zmieszanego i przerażonego. Podobny sposób postępowania nie podobał mu się wcale, tak ze względu na siebie jak i na pana Lydney; pomimo zapewnień pana Danesheldu, obawiał się wielkich dla siebie nieprzyjemności, za to że pozwolił zabrać depozyt powierzony jego straży. W każdym razie był pewnym że go nie miną wymówki i gniew pana Lydney, i stał jak przybity na jedném miejscu, niezdolny poruszyć się ani też przemówić, patrząc przed siebie głupowatym wzrokiem.

Rozdział III.

Tajemnicze zniknięcie.

Pan Lydney nadszedł prawie natychmiast z Ravensbird'em, i człowiekiem ciągnącym mały wózek na dwóch kołach.

„No! zawołał oglądając się na wszystkie strony, gdzież jest moja szkatułka? Co zrobiłeś z moją szkatułką Michale?

— Nie wiem, odpowiedział zalękniony Michał; ja nic z nią nie zrobiłem... to lord Dane przyszedł tu i kazał ją zabrać i zawieźć wraz z innemi rzeczami.

— Zabrać i zawieźć? Gdzie.

— Do pałacu. Jest tu panem i ma prawo do wszystkiego co tylko morze wyrzuci na jego ziemię; tak mi przynajmniej powiedział. Nie zamierza jednak przywłaszczyć sobie tych rzeczy, tylko chce aby dla większéj pewności były u niego złożone, dopóki właściciele nie udowodnią że należą do nich rzeczywiście. Wiem dobrze że to nieprawdopodobne aby się zjawili kiedy; ale, może też on mówił o ich przyjaciołach.

— Ale właściciel téj szkatułki był obecnym, i zgłosił się po nią, a więc lord nie miał prawa, nietylko przywłaszczać sobie, ale nawet dotknąć się jéj! zawołał pan Lydney. Jak mogłeś pozwolić na to, Michale? zasłużyłeś na surową naganę.

— Gdybyś pan nie był tu obcym, nie dziwiłbyś się że nie mogłem przeszkodzić lordowi Dane zrobić co mu się podobało. On tu panem wszystkiego, Danesheldu i jego mieszkańców. Równie mi było niepodobném zatrzymać szkatułkę pana skoro lord chciał ją zabrać, jak gdybym chciał powstrzymać przypływ i odpływ morza.

— Co za niedorzeczność! odrzekł pan Lydney: niepodobna przecież utrzymywać że lord Dane może narzucać swe prawa całemu światu.

— Tego nie twierdzę, mogę tylko zapewnić pana żem ja temu nic nie winien.

Lord Dane nadszedł tu przypadkiem i zobaczył te przedmiota; zastanowił się, odszedł i powrócił z młynarzem Seel'em i z jego wózkiem, na który kazał złożyć wszystko i odwieźć do pałacu. Zdaje mi się że właśnie szkatułka pana bardzo go zaintrygowała, przypatrywał się bardzo wyrobionemu na niéj krzyżowi. Zatrzymał się spostrzegłszy ją i długo stał przy niéj zamyślony.

— Powtarzam ci, Michale, że skoro pod straż twoją oddałem moją szkatułkę, nie powinieneś był pozwolić lordowi Dane zabierać jéj.

— Ubolewam nad tém więcéj niż to wyrazić mogę i złorzeczę przypadkowi który skierował tu kroki lorda Dane, odpowiedział biedny Michał—ale najniezawodniéj za zgłoszeniem się pana lord rozkaże natychmiast oddać mu szkatułkę.

— Co do mnie, nie jestem tego tak bardzo pewny, rzekł Ravensbird słuchający dotąd w milczeniu.

— A to czemu? zapytał Michał.

— Bo... bo jak lord Dane raz uprze się w przedmiocie „praw“ swoich, niesłychanie trudno przywieźć go do zmiany zdania odrzekł Ravensbird. W środku tego frazesu zatrzymał się chwilkę spoglądając na pana Lydney—a potém dodał: zdaje mi się że nie łatwo zdołasz pan odzyskać szkatułkę... trzeba postępować bardzo przezornie.

Wiliam Lydney zwrócił się ku pałacowi znacząco poruszając głową i uśmiechnął się pogardliwie, a uśmiech ten usprawiedliwiał sąd pana Minn o jego dumie i wyniosłości.

Rozkazał człowiekowi z taczkami zdążać za sobą; Ravensbird wrócił do gospody.

Zadzwonił do drzwi pałacowych; stary Bruff drzwi mu otworzył.

— Chcę wiedzieć się z lordem Dane.

— Milord wyszedł.

— Zapewniono mnie że wrócił wraz z przedmiotami zebranemi na morskiém wybrzeżu, proszę pozwolić mi wejść.

Bruff wpatrzył się w przybysza co śmiał z takiém lekceważeniem mówić o jego panu i jego postępkach. „Nigdy jeszcze, pomyślał sobie, nie pokazał się w tym pałacu gość tak pańską mający minę.“ Skłonił się z uszanowaniem i otworzył obie połowy drzwi.

— Rzeczywiście, rzekł, milord wrócił z ludźmi którzy sprowadzili tu znalezione na wybrzeżu przedmioty, ale wyszedł powtórnie jak tylko zostały złożone w bezpieczném miejscu.

— Pomiędzy temi przedmiotami znajduje się moja szkatułka i żądam jéj zwrotu, rzekł pan Lydney, proszę wydać mi ją natychmiast.

— Nie jestem w możności spełnić tego żądania; nie śmiałbym ani dotknąć się złożonych rzeczy, bez rozkazu lorda Dane.

— Powtarzam że domagam się zwrotu mojéj szkatułki, rzekł spokojnie pan Lydney—i nie możesz mi tego odmówić.

— Racz pan zwrócić uwagę na to że zostaję w usługach lorda Dane, a pojmiesz łatwo że niepodobieństwem jest dla mnie nawet dotknąć się tych rzeczy bez rozkazu mego pana.

— Rzeczy te są w pałacu?

— A jakże. Milord kazał je złożyć w pośmiertnéj sali dla bezpieczeństwa i oddał mi klucz rozkazując zarazem abym nikomu nie pozwolił tam wchodzić.

— W pośmiertnéj sali?

— Przepraszam pana, powinienem był powiedzieć „w sali składowéj“ gdyż teraz tak się nazywa, ponieważ dawniejsza nazwa smutne robiła wrażenie, ale ja stary tak nawykłem nazywać ją „salą pośmiertną“ iż zawsze się mylę.

— Nie wiesz jak wielką, niepowetowaną możesz wyrządzić mi szkodę, odmawiając wydania téj szkatułki.

— Bardzo mi to przykro, i gdyby zależało odemnie natychmiast zwróciłbym panu jego własność ale sprzeciwia się temu mój obowiązek. Jestem sługą lorda Dane, żywi mnie, płaci, mieszkam pod jego dachem, więc powinienem być mu posłusznym, a wyraźnie mi rozkazał żebym pod żadnym pozorem

je pozwolił nikomu wchodzić do tego pokoju. Cóż mogę zrobić?...

Pan Lydney czuł się zwyciężonym. Nie można było nic zarzucić rozumowaniu Bruffa, i na nic nie zdałoby się nalegać dłużéj na niego.

— Czy nie ma kogo takiego w pałacu, rzekł nakoniec, coby mógł wydać stosowne rozkazy w nieobecności lorda?

— Jest miss Dane, siostra milorda. Ale... Zresztą, jeżeli pan życzy sobie tego, to widzieć się z nią można.

Lydney skinął twierdząco głową i Bruff wprowadził go do salonu.

— Kogóż mam oznajmić? rzekł trzymając rękę na klamce.

— Pana Lydney.

Miss Dane bawiła się właśnie z kanarkami. Nie zestarzała się tak bardzo przez te dziesięć lat, tylko rysy jéj stały się wydatniejsze, a włosy jakkolwiek piękne jeszcze, były już trochę rzadsze. Wiemy że była starszą od brata.

Kończyła już czterdziesty drugi rok życia, ale gdyby mogła przypuścić że ludzie wiedzą o tém, dostałaby z pewnością ataku nerwowego: Zachowała ułożenie dwódziestoletniéj panienki, i ubierała się stosownie do tego wieku. Policzki jéj były zawsze rumiane, a rysy drobne i kształtne. Ciemne i miękkie włosy spadały w długich lokach na szyję, a niebieskie oczy zaledwie śmiały spotkać się z czyjémbądź spojrzeniem, zwłaszcza ze spojrzeniem mężczyzny. Gdyby miss Dane była trochę naturalniejszą, jéj wrodzona dobroć czyniłaby ją bardzo miłą i sympatyczną. Obecnie, miała na sobie suknię z jasnéj niebieskiéj materyi, przybraną srebrnemi guziczkami.

Na pierwszy rzut oka, William Lydney wziął ją za młodą panienkę.

— Czy mam zaszczyt mówić z miss Dane?

— Miss Dane zamknęła klatkę, ukłoniła się wdzięcząc i spuszczając oczy. Zachowała dotąd dawną swą manię zachwycania się od pierwszego rzutu oka widokiem pięknych nieznajomych, i teraz więc zadawała sobie w myśli pytanie, czy widziała kiedy kogoś powabniejszego. „Jakąż on ma szlachetną postawę, pomyślała, i zdawało jéj się jednocześnie że pokochała się w nim szalenie, nie wątpiąc bynajmniéj że on odpłaci jéj wzajemnością.

Pan Lydney wszakże był zbyt zajęty swoją szkatułką aby mógł dopuścić do serca jakieś tkliwsze uczucia, choćby nawet był równie wrażliwym jak miss Dane, przedstawił więc od razu powody swego przybycia, i prosił o wydanie rozkazu aby mu oddano jego szkatułkę.

„Podobne postępowanie zadziwia mnie do najwyższego stopnia, zawołała miss Dane, potrząsając długiemi lokami. Pan mówi że brat mój... Godfryd... był nad morzem i kazał przewieźć do pałacu wszystkie przedmioty wyratowane przez nurków... Ale dla czego to zrobił? na co mu się one zdać mogą?

— Tego właśnie ja także pragnąłbym się dowiedzieć.

— Zapewne ich tu nie przywieziono... Trudno temu uwierzyć... Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Pozwoli pan że zadzwonię na Bruffa.

Zadzwoniła i Bruff się ukazał.

„Bruffie, czy przywieziono tu dziś jakie rzeczy pochodzące z rozbitego okrętu?

— Tak; miss.

Jakkolwiek miss Dane była uważaną za panią domu, nie dozwoliłaby nigdy na to aby ją nazywano panią, uważając że przez to wydawałaby się starszą.

— Czy szkatułka tego pana znajduje się między niemi?

— Zapewnie, miss; jeżeli tylko znajdowała się na wozie wraz z innemi przedmiotami, to musi być razem z niemi złożona w składzie.

— Odzyskanie téj szkatułki jest dla mnie rzeczą nader ważną. Gdyby lord Dane był obecnym, kazałby mi ją oddać z pewnością.

— Nie można o tém wątpić, odpowiedziała miss Dane z żywością. Bruffie, trzeba zwrócić panu jego własność.

— Miss, rozkazy lorda są stanowcze: nikt i pod żadnym pozorem nie ma poruszać tych rzeczy.

— Tak, rozumiem; ale dopóki ktoś nie zgłosi się po swoją własność. Ale skoro pan żąda wydania swéj szkatułki trzeba mu ją oddać.

— Nie mogę brać za to na siebie odpowiedzialności, miss. Jeżeli miss rozkaże to rzecz inna.

— A! jakże jesteś nudny Bruffie! zawołała miss Dane z dziecięcym uśmiechem. Nie podpada najmniejszéj wątpliwości że lord Dane rozkazując przenieść te rzeczy do pałacu, miał jedynie na celu dobro ich właścicieli, nic więc nie przeszkadza zwrócić panu jego własności.

„Jest to szkatułka lakowa, a na jéj wieku znajduje się wysadzony złoconemi gwoździkami krzyż i cyfra. Omylić się niepodobna. Ale... wszakże mogę sam ją wskazać.

Bruff wahał się jeszcze pomimo rozkazu miss Dane. Nie zbywało mu na chęci wydania szkatułki, i czuł dobrze że powinna być oddaną, lecz obawiał się narazić na gniew pana, i stał prawie równie zakłopotany jak niedawno Michał.

— Miss wie to dobrze, rzekł nakoniec prawie błagającym tonem, jak milord się gniewa za najmniejsze nieposłuszeństwo. Nie mogę się odważyć na wydanie téj szkatułki; gdyby miss kazała mi to uczynić, to co innego.

— Ale wszakże ja już kazałam oddać ją panu, Bruffie.

— Tak, miss; ale możeby miss zechciała pofatygować się sama do składu, i wziąść na siebie całą odpowiedzialność. Jeżeli miss sama odda temu panu szkatułkę, lord nie będzie mógł gniewać się na mnie.

Miss Dane nie miała nic przeciwko temu, a nawet podobała jéj się ta wycieczka, skoro piękny nieznajomy podał jéj rękę aby ją zaprowadzić.

Zeszli z głównych schodów pozostawiając Hall na prawo, i poszli prosto korytarzem do dawnéj pośmiertnéj sali; przez drogę miss Dane szczebiotała ciągle strojąc minki. Bruff wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi.

Zimna i ponura sala wyglądała zupełnie tak samo jak dawniéj, nie było w niéj żadnych sprzętów, tylko na kamiennéj podłodze leżały w nieładzie rzucone tam rano szczątki wydarte morzu.

Pan Lydney ukłoniwszy się grzecznie, puścił rękę miss Dane, i zwróciwszy się ku znajdującym się tam przedmiotom, przebiegł je szybko oczyma. Twarz jego zapałała nagle gniewem.

„Tu nie ma mojéj szkatułki!" zawołał.

Tak miss Dane jak Bruff nie spodziewali się z pewnością podobnego zawodu, i kto wie czy temu ostatniemu taki zbieg okoliczności nie przyniósł pewnéj ulgi. Tak, nie było tam żadnéj lakowéj szkatułki.

Pan Lydney zwrócił się nagle do Bruff'a.

„Gdzie ją zaniesiono? zapytał tak rozkazującym choć spokojnym głosem, że stary sługa nie wiedział z razu co powiedzieć.

„Jeżeli jéj tu nie ma, panie, rzekł nakoniec, to widać że jéj nie przywieziono do pałacu, co tylko było na wozie zniesiono prosto do téj sali, i mogę zaręczyć że nikt tu nie wszedł później.

— Przywieziono ją tu z pewnością, a jeżeli byłeś panie Bruff kiedy tu znoszono te rzeczy, musiałeś ją widzieć.

— Mała lakowa szkatułka, rzekł Bruff usiłując sobie przypomnieć. Nie, nie widziałem jéj wcale. Prawdę mówiąc nie zwracałem prawie uwagi na te wszystkie rzeczy, ale o tém zapewnić mogę że wszystko co tylko było, złożono w tym pokoju.

— Więc ją potém zabrano.

Bruff przecząco wstrząsnął głową.

— Nie panie, ręczyć mogę że jest to niepodobieństwem: miałem ciągle klucz w kieszeni.

Pan Lydney nic nie odpowiedział. Był najmocniéj przekonany że szkatułka jego została zabrana z tego pokoju, rozglądał się bacznie do koła, czy nie dopatrzy gdzie śladu kryjówki. Postrzegł drzwi do gabinetu; klucz był w zamku, otworzył je i wszedł, ale wyjąwszy dwóch drewnianych kozłów pod ścianą, nic nie było więcéj—szkatułki ani śladu.

— Ależ to istne czary! zawołała miss Dane. Jeżli rzeczywiście przywieziono szkatułkę na wózku, jak pan zapewniasz, więc chyba zapomniano jéj z niego wyjąć—inaczéj tego wytłomaczyć niepodobna... Albo może brat mój dowiedział się że jest pana własnością i kazał mu ją odnieść.

Ale Bruff zapewnił iż dobrze widział że wózek odjechał próżny.

Pan Lydney pożegnał miss Dane, przepraszając najuprzejmiéj że ośmielił się ją trudzić—ale tłomaczenie się to było zbyteczném, gdyż byłaby najchętniéj cały dzień zatrzymała w pałacu tak pięknego i pociągającego młodzieńca.

Wyszedłszy z pałacu, pan Lydney zajął się zaraz wyszukaniem młynarza i ludzi jego którzy ciągnęli wózek. Bruff wskazał mu dokładnie gdzie ich spotkać może, więc znalazł ich łatwo, ale nie mógł żadnych wydobyć objaśnień. Byli to dwaj parobcy nadzwyczaj ograniczeni, których cała pojętność ograniczała się do ich machinalnéj roboty w młynie.

Szkatułka lakowa ze złotemi znakami na wierzchu? nic o tém nie wiedzieli. Milord kazał im zebrać i zawieźć do pałacu rozrucone na morskiém wybrzeżu przedmioty i spełnili jego rozkaz. Zdaje się niepodobieństwem aby mogło czegoś brakować.

„Ależ mówię wam że brakuje szkatułki. I jeżliście ją wkładali do wózka i następnie zawieźli do pałacu, niepodobna abyście jéj nie zauważyli. Szkatułka ta jest bardzo niezwyczajna i ciężka.

Nic nie pomogło—tyle tylko wiedzieli że odwieźli co tylko było na wybrzeżu, nie zwracając uwagi na szczegółowe przedmioty. Szczęściem dla nich, lord Dane był ciągle obecnym, więc żadne podejrzenie padać na nich nie mogło.

„I wszystko złożyliście w pałacu?

— Wszystko co do joty, i powróciliśmy z próżnym wózkiem zabrać worki ze zbożem.

William Lydney powrócił do *Gospody Marynarzy* bardzo niezadowolniony z tych odpowiedzi, ale pojmował dobrze iż daremnie wypytywałby się dłużéj.

Po jego odejściu, Bruff wyszedł bocznemi drzwiami i zwrócił się ku lasowi w miejsce gdzie spodziewał się spotkać lorda Dane który był na polowaniu. Spotkawszy go tam niby przypadkiem, opowiedział mu zajście z nieznajomym panem, kładąc silny nacisk na to: że tylko na wyraźny rozkaz miss Dane,

wydany wbrew jego przedstawieniom, otworzył salę składową.

Lord siedział na pniu drzewa spożywając śniadanie; Bruff stał przed nim z pokorną miną, przygotowany co najmniéj na surowe połajanie, gdyż wiedział że pan jego nie dopuszczał najlżejszego nieposłuszeństwa.

„Powiedziałem ci raz na zawsze, zawołał lord Dane, z pełnemi jakiegoś mięsiwa ustami, że pod żadnym pozorem nie pozwalam przekraczać moich rozkazów. W tym razie chodzi o rzecz małéj wagi, i więcéj winna tu miss Dane, niż ty—i pomówię z nią o tém—ale niech się coś podobnego nie powtarza. Czy oddałeś temu panu jego szkatułkę?

— Kiedy jéj nie było w pałacu—przynajmniéj w sali składowéj, odpowiedział Bruff, odetchnąwszy swobodniéj. Według opisu nieznajomego pana, miała to być szkatułka lakowa, ze złotemi literami na wieczku. Nie znaleźliśmy nic nawet podobnego.

— Czegoż więc chciał ten intrus? zawołał z gniewem lord Dane. Spodziewałem się tego że zgraja mężczyzn, kobiet a nawet i dzieci, zechce oglądać przedmiota wyrzucone na brzeg morski, i dla tego kazałem ci zamknąć salę składową. Tacy ciekawcy, pragnący widziéć uronione z okrętu przedmiota, niech się z nurkami spuszczą na dno morza.

— Ten młody gentleman utrzymuje że szkatułka jego została znaleziona na wybrzeżu i odniesiona do pałacu, milordzie, odrzekł Bruff—ale zwróciłem jego uwagę że w takim razie musiałaby dotąd się w nim znajdować.

— A naturalnie, odrzekł lord popijając winem, przecież nie mogłaby się ulotnić? musiałeś źle szukać i nie dostrzedz jéj, Bruffie.

— Gdybym ja nawet źle szukał, to niezawodnie dostrzegłby ją ów młody pan, tak wielką widać do niéj przywiązujący wagę. Ma jeszcze przyjść do pałacu, rozmówić się w tym przedmiocie z milordem.

— A i owszem! odrzekł lord Dane, wstając aby polować znowu.

Bruff powrócił do pałacu. Pan Lydney zjawił się znów nieco przed szóstą i został zaraz wprowadzony do Hallu, czyli, jak go teraz nazywano—do sali audencyonalnéj. „Lord Dane przyjdzie zaraz, panie, dopiero co prawie powrócił z polowania i właśnie się przebiera, rzekł Bruff.

Jakoż lord wszedł niebawem do sali i postępując ku nieznajomemu, rzekł mu zaraz uprzejmie, z wyrazem szczerości.

„Intendent mój opowiedział mi jakąś historyę o szkatułce jakoby znikłéj z sali składowéj—ale jest to rzecz najzupełniéj niemożebna; jeżli rzeczywiście została tam zaniesioną, to musi tam być dotąd.

— Najniezawodniéj została włożona na wózek i przywieziona do pałacu, może to zaświadczyć Michał strażnik, odrzekł pan Lydney, równie swobodnym ale dumniejszym głosem. (Lord Dane patrzył na niego zapytując w duchu: kto może być ten młody człowiek traktujący go jak równego sobie.) Chodzi więc tylko o to gdzie została złożona po przywiezieniu do pałacu, dodał pan Lydney.

— Czy Michał tak szczególnie zwrócił uwagę na tę szkatułkę.

— Niewątpliwie, i zapewnia że i milord przypatrywał się jej uważnie. Czy sam milord lub Michał nie zwrócił jego uwagi na litery będące na wieczku.

— A! więc to o tę szkatułkę chodzi!.. co to złotemi gwoździami wysadzone jest na wierzchu trzy V. zawołał lord Dane. O! co do téj to z największą pewnością została włożona na wózek; sam widziałem że ją zabrano.

— Czy wolno zapytać milorda, z jakiego powodu pozwolił czy kazał zabrać tę szkatułkę?

— Wszystko kazałem zabrać dla większego bezpieczeństwa.

— Ależ ja wyraźnie reklamowałem o nią i powierzyłem ją pod straż Michała, pod czas gdy sam udałem się szukać ludzi z tragami aby ją przenieśli do gospody—i Michał powiedział to milordowi. Zdaje mi się więc, że w żaden sposób nie należało jéj zabierać—a co do bezpieczeństwa, powtarzam iż Michał odpowiadał za nią, jako za przedmiot pod straż jego oddany.

— Gdybyś pan tyle razy co ja był świadkiem rozbicia się okrętów przy tych brzegach—ale sądzę że masz pan aż nadto jednego tego rozbicia, dodał z uśmiechem—wiedziałbyś że przy największéj czujności, niepodobna prawie strażnikom ustrzedz uratowane przedmioty od rabunku czyhających na nie hultai i włóczęgów. Było to moim obowiązkiem, jako pana tych wybrzeży i tego pałacu, czuwać nad całością znalezionych szczątków—mówił daléj dumnie głos podnosząc, jakby dla objaśnienia Amerykanina, nie przypuszczając aby tenże miał jakieś pojęcie o prawach lordów pałacowych a nawet w ogóle o prawach lordów.

— Ja domagam się mojéj własności, odrzekł spokojnie pan Lydney.

— I jesteś pan w swojém prawie; to też zabierz pan swoją szkatułkę, Bruff powinien był wydać ją panu nie czekając mego pozwolenia.

— Ale gdzież ona jest? nie ma jéj między przywiezionemi z wybrzeża przedmiotami.

— Panie, to zakrawa na żart co najmniéj niestosowny, odrzekł surowo lord Dane.

Szkatułka złożona w dobrze zamkniętéj sali nie może się ulotnić—skoro tam była to i musi być jeszcze—powiedziałem to już Bruffowi.

— Z największą pewnością nie było jéj dziś po południu, gdy mnie wprowadzono do sali.

Nie chcąc rozprawiać dłużéj, lord Dane otworzył wewnętrzne drzwi sali, i skinąwszy pierwéj na Bruffa żeby przyniósł klucze, przeprowadził gościa korytarzami do sali—składowéj. Obaj weszli jednocześnie.

„Możesz się milord sam przekonać że nie ma tu szkatułki, rzekł pan Lydney, pokazując różne rozrzucone na posadzce przedmioty.

Lord Dane uważnie i ciekawie przyglądał się każdemu z osobna, gdy nie mógł już wątpić dłużéj że szkatułki nie było, zdawał się jakby zawstydzony i uniesiony gniewem. Podszedł prędko ku drzwiom, i głośno zawołał Bruffa który przybiegł natychmiast usłyszawszy gniewny głos pana

— Wpuściłeś kogo do téj sali i zabrano szkatułkę tego pana?

— Przysięgam na wszystko co mam najświętszego, milordzie, że nie było tu żywéj duszy, prócz miss Dane i tego pana, odrzekł nieszczęśliwy Bruff, zmieszany niewypowiedzianie całkiem niespodziewanym zwrotem téj sprawy. Ponieważ klucz miałem ciągle przy sobie, więc chyba nie przyniesiono tu szkatułki.

— Więc zapewne jest ona w innym pokoju? rzekł spokojnie pan Lydney.

— Zaręczam panu honorem że wszystkie przywiezione wózkiem rzeczy tu a nie w żadnym innym pokoju zostały złożone, odrzekł par Anglii tak uroczystym i prawdą tchnącym głosem, że pomimo swych uprzedzeń pan Lydney nie mógł wątpić o prawdziwości słów jego Żaden z ludzi znoszących rzeczy nie postał nawet w innych pokojach—które zresztą były zamknięte.

— Rzeczywiście tak było jak powiedział milord. Wszystko przeniesiono wprost tutaj przez korytarz zewnętrzny, a nie przez ten którym milord teraz wprowadził pana; choćby tragarze chcieli, nie mogliby wejść do żadnego innego pokoju. Zresztą i ja i sam milord, nie odstąpiliśmy ich ani na krok.

— A! zapewne tragarze przez nieuwagę nie wyjęli szkatułki z wózka; rzekł lord Dane.

— Nie, badałem ich przed chwilą, odjechali z próżnym wózkiem, odrzekł pan Lydney.

— Milordzie, odezwał się Bruff, sam widziałem że w wózku nic nie zostało.

— Jeźli tak, nie umiem tego wytłomaczyć, rzekł lord Dane, zniecierpliwiony—ale raz już skończmy o tém. Zaręczam panu raz jeszcze że szkatułka została włożona na wózek; sam widziałem jak tragarze podnosili ją z ziemi i pomyślałem sobie nawet że musi być bardzo ciężka;—zaręczam panu także, i nawet mogę przysiądz, jeźli tego potrzeba, że wszystko co zabrano na wózek złożone zostało w tym pokoju, skoro więc szkatułki pana nie ma, musieli tragarze uronić gdzieś w drodze.

— Czy milord widział szkatułkę po przyprowadzeniu wózka do pałacu?

— Nie; nie zwracałem już wtedy uwagi na znajdujące się w nim rzeczy, przyznaję że pilno mi było co prędzéj udać się na polowanie, gdyż strzelec mój dawno już czekał na mnie w lesie. Czy w szkatułce téj wysokie tak mieściły się wartości że tak wiele panu na odszukaniu jéj zależy?

— Zawierała w sobie nader ważne dokumenta nie dające się zastąpić.

— Czy należące do pana?

— Nie, ale jestem za nie odpowiedzialny, gdyż zostały mi powierzone w Ameryce i właściciel ma prawo żądać ich zwrotu.

— Któż jest ich właścicielem? zapytał ciekawie lord Dane.

— A to już całkiem rzecz obojętna dla pana, odrzekł dumnie pan Lydney.

Lord Dane się uśmiechnął.

— Pojmuję że strata podobna bardzo jest dla pana przykrą, ale mogę tylko życzyć najgorecéj abyś pan jak najprędzéj ją odzyskał—bo z resztą niepodobieństwem jest żeby mogła zginąć.

— Znajdzie się jeźli tylko są prawa i sprawiedliwość w Anglii.

— Zdaje mi się że jak najniesłuszniéj mnie pan przypisujesz winę? rzekł lord Dane.

— Powiadają że nie każdą prawdę mówić należy—ale ja nie podzielam tego zdania i bądź co bądź mówię co myślę. Więc wyznaję że w mojem przekonaniu Wasza Wysokość jesteś odpowiedzialny za tę szkatułkę, odrzekł śmiało pan Lyney.

Bruff usłyszawszy to własnym nie wierzył uszom.

„Gdyby leżała na wybrzeżu i nikt jéj nie reklamował jak innych wyrzuconych przedmiotów, do chwili w któréj rozkazał milord przenieść je do pałacu—zrozumiałbym jego postąpienie; ale kazał ją pan zabrać pomimo kilkakrotnych zapewnień Michała że jestem jéj właścicielem i że za chwilę przyjdę z ludźmi zabrać ją do *Gospody marynarskiéj* w któréj mieszkam. Widocznie miałeś pan w tém jakiś powód aby posiąść tę szkatułkę i widocznie sam zabrałeś ją z téj sali.

— Co!... więc cóż przypuszczasz pan że chcę z nią zrobić.

— Tego już nie wiem.

— Widzę, młodzieńcze, że zbyt jesteś dotknięty

i rozdrażniony utratą swéj szkatułki, i dla tego wybaczam twoje nierozważne słowa, odrzekł łagodnie lord Dane. Nie zastanowiłeś się widać jak te podejrzenia twoje wszelkiéj pozbawione są podstawy. Zapewniłem że wszelkie znajdujące się na wybrzeżu przedmioty zwiezione zostały do téj sali, intendent mój powtarza toż samo, i nareszcie przyznajesz pan iż sam wypytywałeś się o to parobków młynarza. Otóż sala ta nietylko że jest oddalona od innych pokoi pałacu, ale nadto żadnéj z niemi nie ma komunikacyi, prócz tego długiego korytarza; pytam się więc czy mógłbym sam przenieść przez niego tak ciężką szkatułkę, któréj nawet unieść z ziemi nie byłbym w stanie. Może gotów pan jesteś pomyśléć że kazałem przenieść ją mojéj służbie—pozwalam ci zatém zapytać ich o to.—Nie, panie Lydney, bądź najzupełniéj pewny że wszystko zostało złożone w téj sali, którą sam zamknąłem na dwa spusty i klucz oddałem Bruff'owi—tak więc on jeden mógłby być odpowiedzialny.

Bruff zgnębiony nie probował nawet się bronić.

Nic już nie zatrzymywało pana Lydney w pośmiertnéj sali; wyszedł więc a za nim lord Dane: Bruff pozostał zamknąć drzwi. Pan Lydney szedł ze spuszczoną głową, zastanawiając się nad tłomaczeniem lorda Dane. Było ono i rozsądne i prawdopodobne—lecz jeźli lord mówił prawdę, pytał siebie, cóż się więc stało ze szkatułką? i coraz większy ogarniał go niepokój.

Musiał wejść do Hallu, gdyż zostawił tam kapelusz i rękawiczki; zaraz przy drzwiach sali jadalnéj stała miss Dane, która bawiąc się niby ze swym ulubionym pieskiem, czatowała na powrót pięknego nieznajomego, na cześć którego wpięła pomiędzy loki niebieskie kokardy i przywdziała piękną białą muślinową suknię.

„Jaka piękna sala! zawołał mimowolnie William Lydney, nie spostrzegłszy w pierwszéj chwili miss Dane.

— Masz pan słuszność, rzekła, drugiéj takiéj nie ma w całéj okolicy,—i zbliżyła się spuszczając oczy i ręce, jak nieśmiała dziewczynka. Spodziewam się, dodała, że znalazłeś pan swoją szkatułkę?

— Nie, miss Dane; ulotniła się jakimś niepojętym sposobem z sali składowéj lorda Dane.

— Ulotniła.., niby jakieś widmo? rzekła z dziecinnym uśmiechem.

— A tak—tylko że dziś już nikt nie wierzy w widma.

I ukłonił się żegnając miss Dane, która podała mu rękę na pożegnanie—uścisnął ją szczerze.

Lord Dane nie mógł powstrzymać pogardliwego wzruszenia ramionami; siostra jego była niedorzeczną, ale ten nieznajomy młodzieniec nie powinien był potakiwać jéj śmiesznostkom. Nie robiłby tego gdyby był prawdziwym gentlemanem, pomyślał sobie. Sam lord Dane pożegnał go dumnym ukłonem i odprowadził tylko do drzwi Hallu, gdzie oczekiwał Bruff.

— Czy jego szkatułka naprawdę zginęła? Godfrydzie? zapytała z westchnieniem miss Dane, poprawiając swoje loki.

— Eh! zginąć nie mogła—ale znikła jakimś niepojętym sposobem.

— Co za szkoda!... Godfrydzie, czy widziałeś kiedy równie pięknego młodzieńca?

— Hum! odrzekł śmiejąc się... co prawda wcale przystojny.

— Czy nie przypomina on ci kogo?

— Masz słuszność... przypomina mi kogoś ze znajomych... tak... niezawodnie... ale myślę i myślę i nie mogę przypomnieć sobie kogo.

— To zupełnie te same rysy! zawołała. Podobny jak dwie krople wody do lady Dane.

— Do jakiéj lady Dane?

— Jedną tylko znałam, Godgrydzie; starą lady Dane, moją i twoją ciotkę.

— Co ci się zdaje, Cecylio!

— Wcale mi się nie zdaje, kochany Godfrydzie; rzadko kiedy zdarzy się wiedzieć tak wielkie podobieństwo, — uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia.

Lord Dane podał jéj rękę i poprowadził do stołu.

— Powinieneś był zatrzymać go na obiad, Godfrydzie.

— Co! miałbym go zapraszać do swego stołu?

— Przecież nie byłoby w tém nic złego, Godfrydzie.

— Przeciwnie, Cecylio; zaczynam przypuszczać czy czasem ten młody Amerykanin, ten Lydney, nie jest jakimś awanturnikiem, i mam powody wnosić że zamyśla trudnić się jakimś podejrzanym przemysłem.

— Ach! co też mówisz; Godfrydzie!... taki piękny! taką pańską ma minę!... możnaby myśléć że to jaki książę!...

— To też myślę że zamierza spekulować na swoją ujmującą powierzchowność... jak to zwykle robią tacy panicze.

Miss Dane zasmuciła się bardzo. Wiedziała że brat jéj posiadał bystry dar spostrzegawczy, oraz jak w ogóle zdrowe i sprawiedliwe wydawał sądy—wierzyła więc w jego zdania jak w Ewangelię. A tu William Lydney tak dobre wywarł na niéj wrażenie, iż nigdy jeszcze nie spotkała człowieka który by taką budził w niéj ufność jak William Lydney.

Rozdział IV.

Poszukiwania w pałacu.

Bruff odprowadził nieznajomego aż do kraty pałacowéj. Zaniepokoiło go niewymownie zniknięcie owéj tajemniczéj szkatułki, i postanowił probować wytłomaczyć się z tego przed panem Lydney.

— Mam nadzieję iż nie obwiniasz mnie pan że szkatułka owa zginęła skutkiem mego niedozoru lub niedbalstwa.

— Nie, odrzekł pan Lydney bez wahania. Jednak przyznaj sam że to zniknięcie szkatułki jest zadziwiającém i niepojętém.

— Nic a nic tego nie rozumiem; myślę i myślę jak się to stać mogło, ale w żaden sposób nie mogę rozwiązać téj zagadki.

— Czy lord Dane oddał ci klucz zaraz jak tylko sprowadzone z wybrzeża przedmiota złożono w sali.

— Tak panie, prawie natychmiast. Gdy już zniesiono wszystko, odprowadziłem ludzi aż do kraty pałacowéj i widziałem że wózek był zupełnie próżny; następnie ,przez korytarz, powróciłem do sali pośmiertnéj; milord czekał na mnie przy drzwiach. Zamknął je w mojéj obecności na dwa spusty, wyjął i oddał mi klucz i nie kazał wpuszczać nikogo—potém zaraz poszedł na polowanie i powrócił dopiero przed chwilą. Miałem ciągle klucz w kieszeni i wyjąłem go z niéj po raz pierwszy aby otworzyć salę panu i miss Dane... A teraz jeszcze muszę zwrócić uwagę pana, iż przypuszczając nawet, jak to pan zdaje się wnosisz, iż milord miałby jakiś powód przenieść gdzieś tę szkatułkę, jest zupełném niepodobieństwem aby miał czas dokonania tego czy sam czy z czyjąś pomocą—i mam moralne przekonanie że szkatułki wcale nie było w pałacu. Mówię to panu dla tego iż widzę że posądzasz milorda i przypisujesz mu winę jakiéj nie byłby zdolny się dopuścić.

— W każdym razie, ciebie, Bruff'e, nie oskarżam wcale, odrzekł pan Lydney z miłym uśmiechem i wsunął mu w rękę złotą monetę.

— Ach! doprawdy, panie, to zbytek dobroci. Ja... A ty tu co robisz, mały szpiegu? czego chcesz? Mówił to do Shad'a skradającego się koło kraty pałacowéj. Pan Lydney prędko odwrócił głowę. „Co za dziwny chłopak! zawołał; nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać tak oryginalnego egzemplarza.

Bruff groźnie skinął ręką—chłopak uciekł.

— Gdyby nie wielka waga szkatułki, rzekł Bruff, myślałbym że ten gadzina ją ściągnął. Widać przybiegł tu za wózkiem, gdyż widziałem jak uwijał się koło niego, podczas gdy znoszono rzeczy. Ale sam nie byłby w stanie unieść i ukraść tak ciężkiéj szkatułki.

Pan Lydney szedł prędko i wkrótce dogonił Shad'a.

„Jak się nazywasz? zapytał kładąc mu rękę na ramieniu.

— Shad, do usług pana.

— Shad?... a jakie jest twoje nazwisko?

— Nie mam innego, proszę pana.

— Dziś rano odwieziono do pałacu różne rzeczy z rozbitego okrętu; szedłeś zdaje mi się za wózkiem, czy widziałeś jak zdejmowano z niego rzeczy?

— Niczego się nie tknąłem.

— Nie pytam ci się o to. Czy zechcesz powiedzieć prawdę.

Shad nic nie odpowiedział, tylko wykrzywił niby do uśmiechu swe szerokie usta.

— Patrzaj Shad; zadam ci parę pytań, jeźli mi powiesz prawdę, dostaniesz ten pieniądz—w przeciwnym razie, nie tylko nie będziesz miał szyllinga, ale oberwiesz coś nie koniecznie pożądanego

— O! wiem ja o co chcesz pan pytać, zawołał zapominając udawać idyotę, tak go olśnił widok srebrnéj monety—chodzi o zatraconą szkatułkę pana. A toć o niczém inném dziś tu nie mówią, jak o téj pana szkatułce z trzema złotemi literami i jakimś figlem nad niemi. Widziałem jak ją wnoszono do pałacu.

— Widziałeś?

— Widziałem memi dwoma oczami, rzekł Shad, podnosząc na pana Lydney swe chytre błyszczące spojrzenie. Prawie ostatnią ją zdjęto z wózka i obaj parobcy młynarza wnieśli ją do pałacu. Pan Bruff szedł obok nich i wszyscy weszli do korytarza.

— A gdzież był wtedy lord Dane?

— Tego nie wiem, nie widziałem go; zapewne wszedł pierwéj.

— Dla czego szedłeś za wózkiem?

— Bo Michał odpędził mnie z wybrzeża i nie miałem nic do roboty. Nie szedłem za wózkiem w żadnych złych zamiarach; gapiłem się jak znosili rzeczy i potem widziałem jak wózek odszedł próżny.

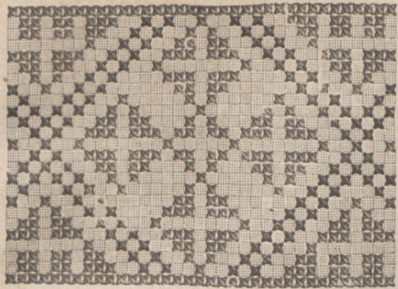
— I pewny jesteś że wózek był próżny?

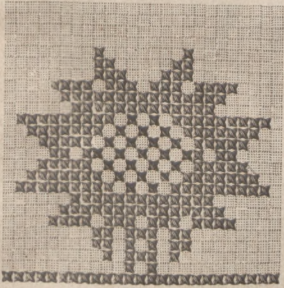
Najpewniejszy, nic a nic w nim nie zostało. Powiedziałem panu prawdę, teraz proszę o pieniądz, jeźli łaska.

— Masz, ale pamiętaj nie ujdzie ci na sucho jeźli się przekonam żeś mi skłamał.

(d. c. n.)




N. 1. Szlak wyszyty krzyżykami do r. 27.

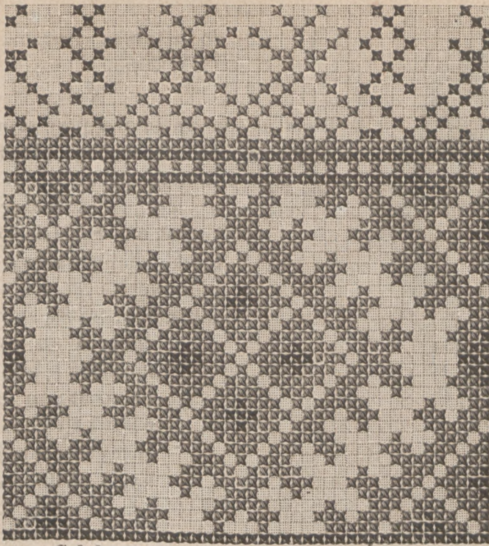

N. 4. Szlak do spódnicy ryc. 27. Ścieg krzyżykowy.

Opis do N. 5.

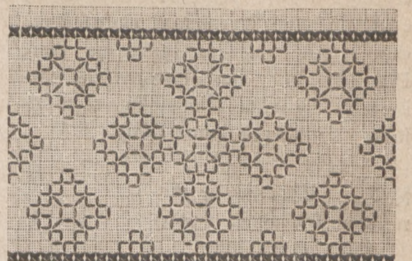
(Dokończenie.)

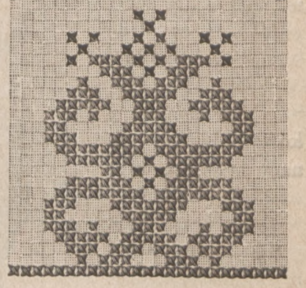
N. 34. Trzewik do strojnego ubrania, odrobiony z najcieńszej skórki i ozdobiony kokardą z wstążki w atłasie 2 cnt. szerokiej z jednej strony czarnej z drugiej różowej.

N. 35 i 37. Ubranie balowe z wyciętym stanikiem i odstającym kołnierzem. Forma stanika na arkuszu z krojami N. III Fig. 12—19.


N. 2. Szlak do fartuszka ryc. 27. Ścieg krzyżykowy.

w końcach 8 cent. szerokości. Podłużne brzegi muślinu, oszywa się plisowaną 5 c. szeroką koronką bretońską, następnie składa się we dwoje, w środku marszczy do 3 cent. układa w sposób na ryc. 36 wskazany i przepina gałązką kwiatów. Do tyłu fałdowanie stopniowo się zwęża, tak ażeby w końcach zapiętych pod kokardą wynosiło tylko 2—3 centymetrów.

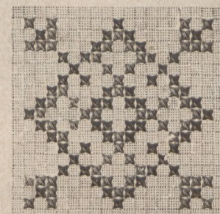

N. 3. Szlak do bluzy ryc. 27 wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony.


N. 5. Szlak do spódnicy rycina 27 ścieg krzyżykowy.

Na modelu do ryc. 35 i 37, stanik z tyłu sznurowany, odrobiony był z białego atłasu, a z przodu ozdobiony napierśnikiem z drobno fałdowanej crêpe-lisse i ranwersami przykrojonemi podług Fig. 17—18, z których górne łączą się z odstającym kołnierzem. Stojący kołnierz kraje się podwójnie z atłasu, podług Fig. 19 pomiędzy które nie oprócz szty w nego muślinu, zaszywa się w górze fiszbin cienki i wązki, wygięty podług formy. Z wierzchu na przyszyciu kołnierza, dana suta riusza z crêpe-lisse. Dolną część rękawka podajemy na fig. 16, górną stanowi prosty pasek atłasu przy wszyciu trochę przyfałdowany a od dołu gładko nakształt ranwersa odstający. Spódnica tiulowa u dołu oszyta dwoma wolantami zakończonemi plisowaniem, z przodu i z boków ułożona w poprzeczne fałdki, z długim, prostym tylnym brytem zręcznie podpinanym, ubrana jest plisowaniem, plisami z atłasu i kokardami z białej wstążki.

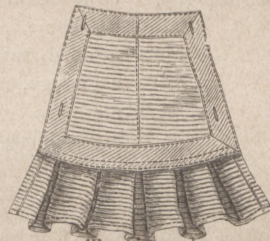

N. 6. Rzucik wyszyty krzyżykami.


N. 8. Bluza do kostjumu r. 27. Szlak podług ryc. 3. Krój na ark. Nr. VI Fig. 26.


N. 7. Rzucik wyszyty krzyżykami.


Nr. 9. Ubranie dla małego chłopczyka. Patrz ryc 20. Krój kaftanika na arkuszu N. XIII, Fig. 52—57.


N. 13. Spódnica z tuniką. Krój tuniki na ark. Nr. XVI, Fig. 65.


N. 12. Turniura do ryc. 11. Strona lewa.


N. 11. Spódnica krótka z turniurą. Krój na ark. Nr. XII.

Nr. 14. Spódnica z trenem. Krój na ark. Nr. XI, Fig 49—50.

Kołnierzykowe części chusteczki, stanowią dwa skośne kawałki muślinu, 25 cent. długie, 5 cent. szerokie, ku dolnym końcom zwężone, które od dołu oszywa się całe koronką, przy końcach zwężonych zawróconą do 10 cent. długości. Następnie brzegi szersze przyczepia się z tyłu do chusteczki, a węższe zapina z przodu broszą.


N. 10. Sukieneczka z długim staniczkiem, dla małej dziewczynki.

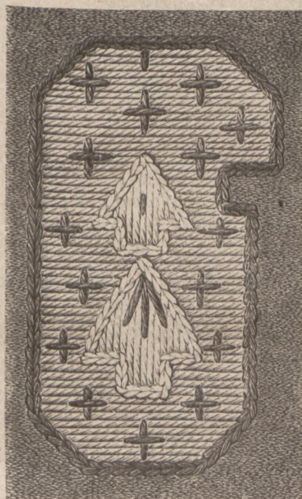
N. 38. Ubranie wizytowe z kamizelką, ze stanikiem frakowym i z tuniką. Krój N. VII, Figura 30—32a.

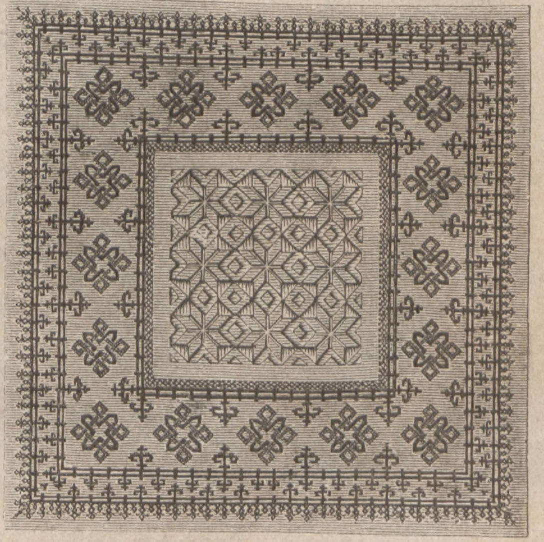
Strojne wizytowe lub wieczorowe ubranie, odrobione było z blado niebieskiej materyi i z paliowej „crêpe de chine,“ a przybrane koronką i szlakami haftowanemi różnokolorowemi jedwabiami, ściegiem płaskim. Na formie grubsze linje oznaczają stanik i baskinę frakową, a cieńsze formę długiej kamizelki. Na zmniejszonym rysunku Fig. 30a — 32a widzimy zestawione wszystkie części stanika. Tunika składa się z trzech brytów, z których dwa przednie a) schodzące się prostemi brzegami do środka, są cokolwiek przymarszczone, oszyte gładko szlakiem haftowanym 8 cent. szerokim i zeszyte do 67 cent. długości, a dalej otwarte; boczne zaś brzegi sfałdowane do 76 cent. przyszywają się do spódnicy. W górze daje się dopasowane podług figury zaszewki. Tylny bryt b) w górze

N. 36. Chusteczka z indyjskiego muślinu, garnirowana koronką.

Z tyłu zapinaną chusteczkę układa się z kawałka skośnego indyjskiego muślinu, mającego 84 cent. długości, w środku 30


N. 15. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 16.

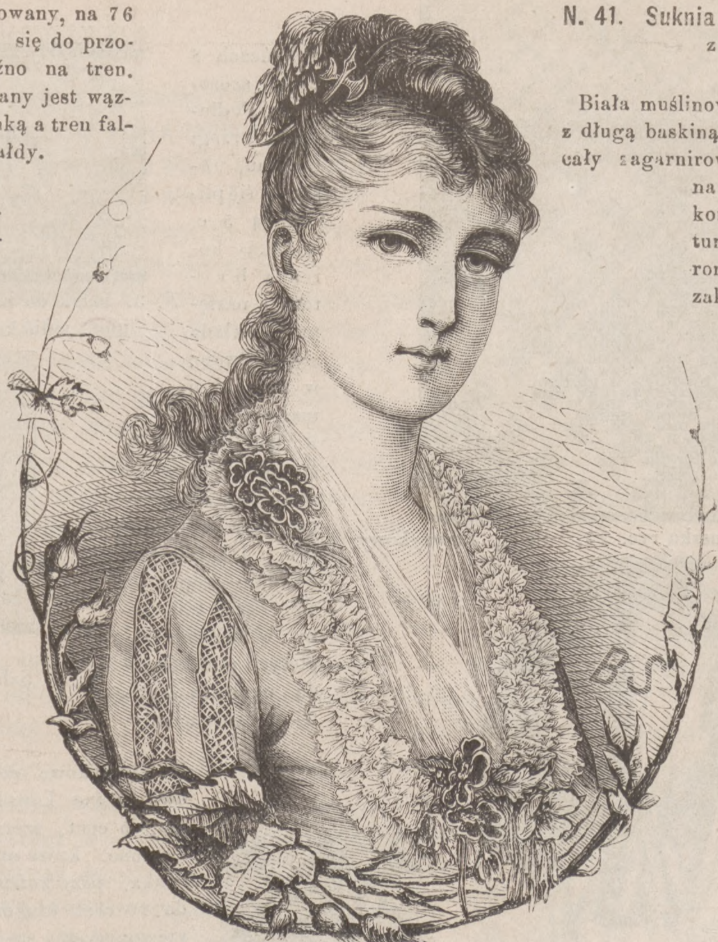

N. 16. Palma do ryciny 15.


N. 17. Haft na poduszkę do kanapy odrobiony na p[illegible] tnie ściegiem gobelinowym i krzyżykowym.

trochę z boków przyfałdowany, na 76 cent. długości przyszywa się do przodów a dalej puszcza luźno na tren. Przód spódnicy garnirowany jest wązkiem plisowaniem i koronką a tren falbaną układaną w kontrafałdy.

N. 39. Ubranie ze stanikiem frakowym i upięciem na spódnicy.

Model odrobiony był z materyi popielatej w drobne baski. Spódnice zdobią dwie falbany układane w kontrafałdy przepinane pukielkami z czarnej atłasowej wstążki; draperyę z przodu upina się z bryta materyi 150 cent. długiego a 73 szerokiego, w końcach skośnie ściętego, a u dołu oszytego plisą czarną i frendzlą. Tylne przystrojenie stanowią dwa kawałki materyi 62 cent. szerokie a 70 długie, od dołu śpiczasto ścięte, z których zwierzchni z tej co suknia materyi, czarną plisą oszyty w górze w kontrafałdę z nagłówkiem ułożony i do bryta przyszyty zachodzi na drugi poniżej przyczepiony, a z czarnej materyi zrobiony.



N. 22. Ubranie głowy dla młodej mężatki.

N. 41. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Biała muślinowa suknia przy staniku z długą baskiną ma dodany plastron, cały zagarnirowany wązkiemi, jedna na drugą zachodzącemi koronkami. Spódniczkową tunikę zdobią wstawki koronkowe 3 cent. szerokie, zakończone wązką koroneczką, a wszywane skośnie w odstępach 15 cent; u dołu wstawka i falbanka plisowana muślinowa, 7 cent. szeroka. Podobny szerszy garnirunek, powtórzony przy spódnicy. Kokardy ze wstążki repsowej 6 cent. szerokiej koloru prune.

Opis do N-ru 6.

N. 1—8 i 27. Kostjum wieśniaczki ruskiej. Krój bluzy na arkuszu Nr. VI, Fig. 26, deseń patrz Fig. 27.

Rycina 27 przedstawia kostjum wieśniaczki ruskiej, odpowiedni na bal maskowy; formę bluzy załącza Fig. 26, samą zaś bluzę podaliśmy na ryc. 8. Spódnica do tego kostjumu jest z granatowego płótna bluza i fartuszek z białego; na głowie kolorowa perkalowa chustka. Desenie na ścieg krzyżykowy, jakiemi wyszyte są szlaki zdobiące bluzę, fartuch i spódnicę, załączyliśmy na rycinie 1—7.

N. 9 i 20. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój na arkuszu Nr. XIII, Fig. 52—57.

Ładne ubranie dla małego chłopczyka przedstawione z przodu na r. 20, uszyte z czarnego aksamitu, ozdobione jest koronką nicianą 3 cent. szeroką, pliskami 2 cnt. szerokiemi wyszytemi ściegiem krzyżykowym i maleńkiemi srebrnemi guziczkami. U dołu sukieneczki wysuwa się wąziutkie białe plisowanie.

Ubranie jakie widzimy z tyłu na r. 9 jest z materyału wełnianego piaskowego koloru; kaftaniczek oszyty ząbeczkami i pliskami wyszytemi bronzowym jedwabiem; guziczki złote okrągłe. Spódniczka fałdowana 28 cent.



N. 24. Kostjum turecki. N. 25. Ubranie balowe z dominem. Krój na arkuszu Nr. XV, Fig. 64.



N. 18. Kostjum wiejskiego chłopca (niemiecki). N. 19. Sukienneczka dla dziewczynki. N. 20. Ubranie dla chłopczyka. Patrz ryc. 9. N. 21 Kostjum wiejski dla dziewczynki (niemiecki).



N. 28—31. K[...]umy fantazyjne.
N. 28. Kostjum chiński. N. 29. Kost. kwiaciarki z czasó[...] lw. XVI. N. 30. Kostjum doktorski. N. 31. Motyl.

długa składa się z przedniego bryta w górze 21 u dołu 33 cent. szerokiego i z tylnego bryta 60 cent. szerokiego, złożonych w szerokie płaskie fałdy. Kaftaniczek przykrojony podług Fig. 52—57, dopasowywa się podług odpowiednich liter, przez naszycie przybrania z przodu oznaczona jest kamizelka, a na rękawach wykłady.

N. 10. Sukieneczka wycięta z długim stanikiem, dla małej dziewczynki.

Długi bluzkowy staniczek, zapinany z tyłu na guziczki, przemarszczony jest kilka razy u góry i u dołu; wykrój szyi i dolny brzeg bluzki wszyty w prosty pasek; sukieneczka ta jest z białego batystu, przybranie stanowią pliseczki wyszyte ściegiem krzyżykowym, bawełną ponsową.

N. 11—12. Spódnica krótka z turniurą. Krój na arkuszu Nr. XII, Fig. 51.

Rycina 11 przedstawia krótką spódnicę, ze sztywnego materyału, dopełnioną u góry małą turniurką, która pomaga do lekkiego odstawania sukni, jak to znowu jest w modzie. Fig. 51 wskazuje w zmniejszeniu krój spódnicy, z wypisaniem całkowitych miar szerokości i długości; szeroki pasek z szyrtyngu, kraje się podług Fig. 49. Przód i boczne bryty spódnicy wszyte są gładko, tylko bryt tylny założony jest z każdej strony rozporka w fałdę; u dołu spódnicy przez bryty boczne i tylny dana 24 cent. szeroka falbana, układana w 5 cent. szerokie kontrafałdy. Turniurę kraje się podług Fig. 51 (części d), jednak odpowiednio do figury można ją przydłużyć i zrobić z dwoma lub trzema falbankami, jak na ryc. 11. Przedstawiona z lewej strony na ryc. 12 turniura, ma tylko dwie falbany, z których wyższa naszyta w odstępie 5 centym. od górnego brzegu liczy 11 cent. szerokości a 52 cnt długości, dolna jest 14 cent. szeroka a 74 długa. Turniura przypięta jest do spódnicy na guziki.



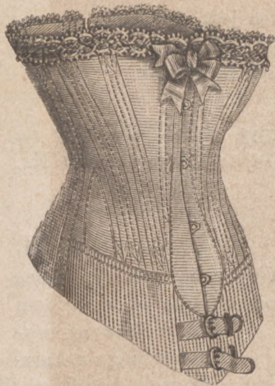
N. 23. Ubranie głowy balowe dla młodej osoby.

N. 13. Suknia z tuniką upiętą na spódnicy. Krój tuniki na arkuszu Nr. XVI, Fig. 65.

Na rycinie 13 podaliśmy samą tylko spódnicę od ubrania ze stanikiem kaftanikowym, wykończonego z kaszmiru indyjskiego i pekinu w morowe paski; kamizelka przy szeroko odwiniętym staniku pówinna być z pekinu. Przód i boczne bryty sukni, odsłonięte przez wysokie podniesienie tuniki, która z tyłu kończy się równo z trenem, dane są z pekinu; u dołu w odstępach 16 cent. dane przecięcia po 25 cent. długie, zapełniane wachlarzowo rozrzucającem się fałdowaniem, na które potrzeba kawałków atłasu po 25 cent. szerokich, załamanych w pięć płaskich fałd, u góry ściśle na siebie zachodzacych Tylny bryt sukni zupełnie przykryty tuniką może być dany z innego taniego materyału, lub z gęstego sztywnego muślinu u dołu objętego kaszmirem i naszytego dwoma pli-

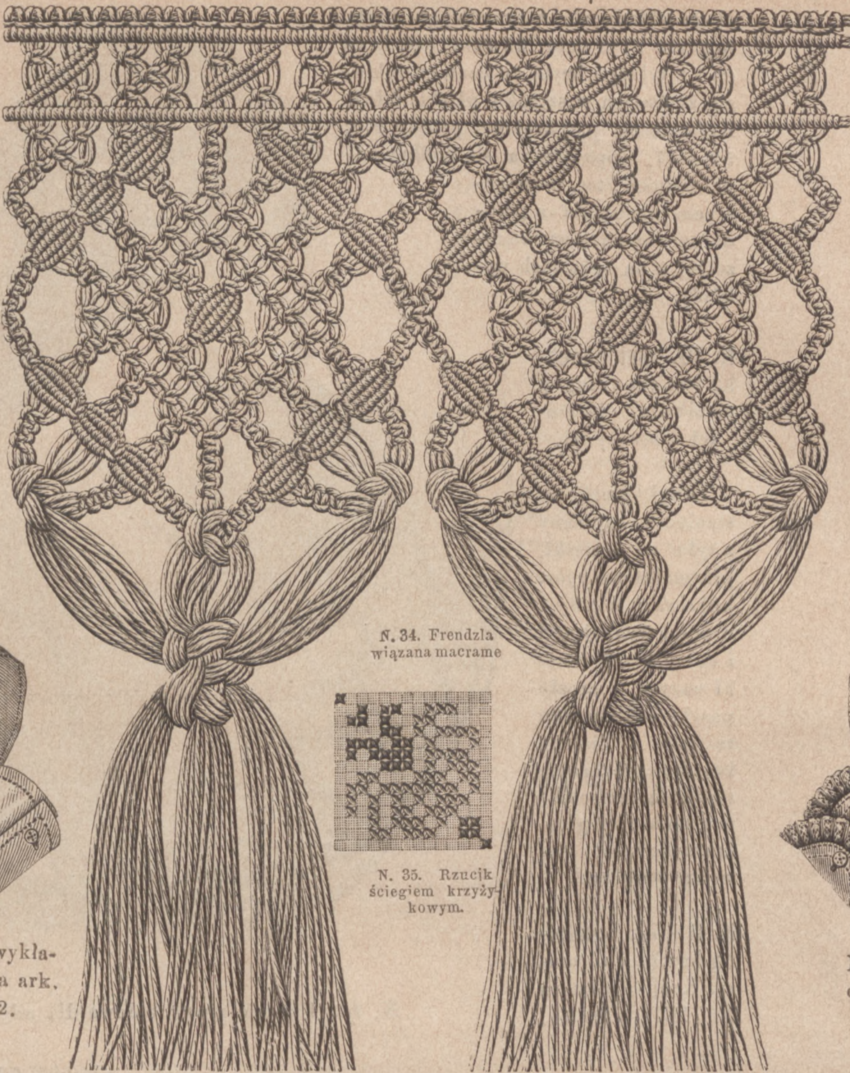


N. 26. Kostjum włoski. Krój na arkuszu N. V Fig. 23—25. N. 27. Kostjum wieśniaczki ruskiej. Patrz szlaki ryc. 1—7. Krój na ark. N. VI, Fig. 26.



N. 32. Groset z częściami elastycznemi.

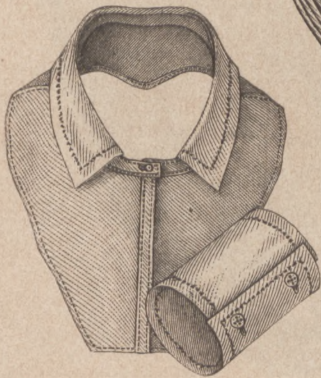
sowanemi falbankami, po 7 cent. szerokiemi. Figura 65 wskazuje krój połowy tuniki, na którą potrzeba dwóch brytów po 112 cent. szerokich, a po 150 cent. długich zszytych z tyłu z sobą (zostawiając od góry 26 cent. na rozporek). Z przodu na środku bryty te są od góry zaszyte na 7 lub 9 cent. (odpowiednio do figury) szerokości wzdłuż na 21 cent., dalej zaś zeszyte brzegiem na 64 cent. długości i podniesione w górę przez założenie 5 fałd ściśle na siebie zachodzących, zwróconych w górę. Fałdy te są równo zagięte i z boków (podług Fig. 65) jeszcze raz przeszyte, przedni wązko zaobrąbiony bryt podniesiony jest w górę nawierzch fałd poprzecznych składając gwiazdkę do gwiazdki a pozostała długość (13 cent.) jest jeszcze w dwie fałdy zebrana. Tylny bryt tuniki zakończony jest z brzegów plisą atłasową 5 cent. szeroką; szerokość górna założona jest z obydwóch stron rozporka w podwójną kontrafałdę, podług znaków danych na Fig. 65. Podpięcie tylnego bryta stanowią fałdy założone podług znaków na długości 36 c. (między liczbą 36 i 72 na Fig. 66); szerokość zaś zwężona jest założeniem fałd z boków szwu na 18 cent. odstępu, niżej na 33 cent. od fałd górnych, w miejscu oznaczonem liczbą 110.



N. 34. Frendzla wiązana macrame



N. 35. Rzucik ściegiem krzyżykowym.



N. 36—37. Kołnierzyk wykładany i mankiet. Krój na ark. N. XIV, Fig. 58—62.

N. 14. Spódnica z trenem. Krój na na ark. Nr. XI, Fig. 49 do 50.

Szeroki pas u góry ściągany na tasiemkę, z tyłu zapięty na guziczki kraje się z podwójnego materyału podług Fig. 49; długość i szerokość pojedynczych brytów wypisana jest na zmniejszonym formacie kroju Fig. 50. Przód i kliny boczne a—c wszyte są w pasek gładko bryt zaś tylny marszczy się drobniutko. Listewka do ściągania przyszywa się w odstępie 40 cent. od górnego brzegu. Przybranie spódnicy przedstawionej na rycinie 14 składa się z dwóch falban; dolna 12 cent. szeroka, oszyta 8 cent. szeroką nicianą koronką; górna 21 cent. szeroka, haftowana u dołu w góıze zakończona bufką 4 cent. i na główkiem 2 c. szerokim, przystębnowanemi wąziutkiemi pliskami. Rycina 6 i 7 w N-rze 5 załączają próbki koronek szydełkowych, z tasiemeczką medalionową i mignardise.

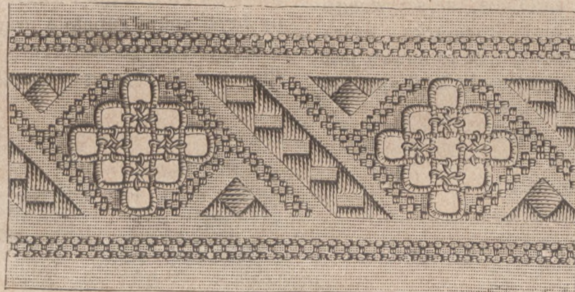
(dok. nast.)

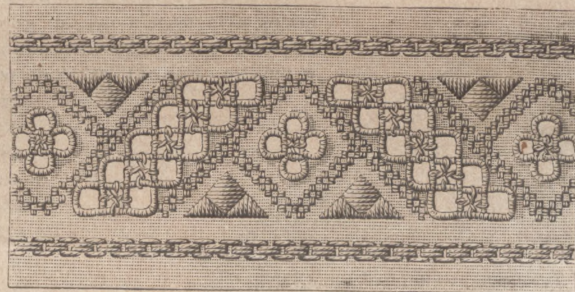


N. 33. Gorset tkany fabrycznie, bez szwu.

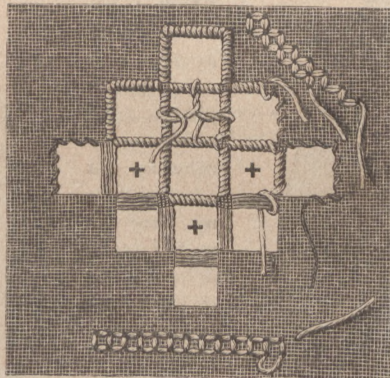


N. 38—39. Kołnierzyk wykładany i mankiet. Krój na ark. N. XIV, Fig. 58—59 i 62.





N. 40 i 42. Haft wenecki do serwet, poduszek i t. p. Ścieg gobelinowy i kratki ażurowe. Patrz r. 41.



N. 41. Wykonanie kratki ażurowej i szlaczków wąziutkich do ryc. 40 i 42.



N. 43. Spódniczka flanelowa, dla małej dziewczynki.



N. 44. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 40 w N. 5.



N. 46—47. Fartuszek dla dzieci. Krój na arkuszu Nr. IV, Fig. 20—22.



N. 45. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku. Krój na arkuszu Nr. X, Fig. 42—48.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 5 i 6.

N. I. Szlafrok formą princesse ryc. 10—11 w N-rze 5.
Miara objętości przez połowę 59 cent. w gorsie.

Fig. 1. Przód (A, C, D, E, K).
Fig. 2. Boczek (A, B).
Fig. 3. Połowa pleców (B, C, D, I, *, × 1 · 1 do × 2 i · 2) 4 założenie formy.
Fig. 4. Rękaw (E, F, G, H).
Fig. 5. Połowa kołnierza (I K).
Fig. 1a—5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju.

N. II. Vêtement zapinane z boku, do sukni ryc. 2 — 3 w N-rze 5.
Miara objętości przez połowę: 45 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 6. Pierwsza część przodu (L, S)
Fig. 7. Druga część przodu z boczkiem (L, M, N, O, P, T, U) 1 założenie.
Fig. 8. Pierwsza część pleców (O, P, Q, R, T) 1 założenie.
Fig. 9. Druga część pleców (Q, R, S, *) 1 założenie.
Fig. 10. Rękaw (U, V, W, X).
Fig. 11. Wskazanie kroju tylnego bryta.
Fig. 6a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 6—10 z Fig. 11 tudzież z częścią przybrania, dopełniającą pierwszą część przodu, Fig. 6b i 6c.

N. III. Stanik do gorąu ze stojącym kołnierzem. Ryc. 35 i 37 w N. 5.
Miara objętości przez połowę: 47 w gorsie, 28 w pasie.

Fig. 12. Przód (a, b, g, h, i, k, l, *).
Fig. 13. Boczek (a, b, c, d).
Fig. 14. Pierwsza część pleców (c, d, e, f, g, h).
Fig. 15. Druga część pleców (e, f, :).
Fig. 16. Rękawek (c, *).
Fig. 17. Wykład górny (i, k).
Fig. 18. Wykład dolny (k, l).
Fig. 19. Kołnierz (i, :).

N. IV. Fartuszek bluzkowy dla dzieci. Rycina 46—47 w N. 6.

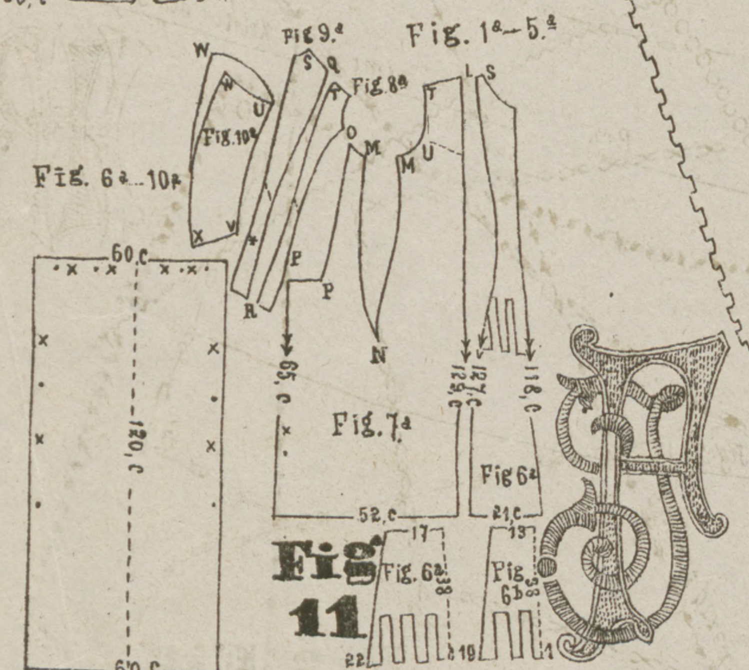
Fig. 20. Połowa przodu (m, n, q, r, *, :).
Fig. 21. Połowa pleców (m, n, o, p).
Fig. 22. Karczek tylny (o, p, q, r).

Fig. 25.

Fig. 26.







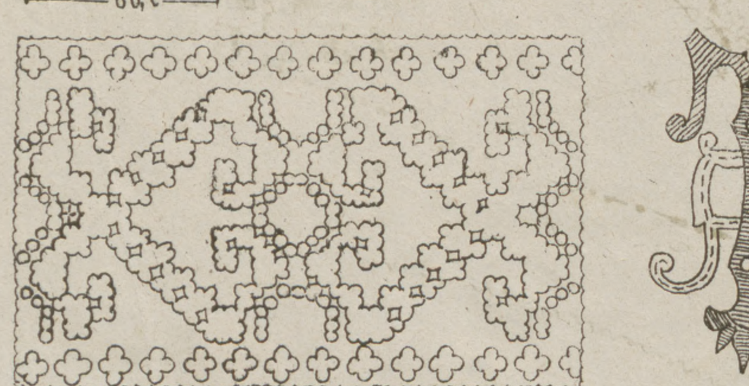


Fig. 27.

N. VII *Stanik* z baskiną frakową i tunika do ryc. 38 w N-rze 5.
Miara objętości przez połowę 48 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 30. Przód (A, B, G, H, *, *) 1 założenie.
Fig. 31. Boczek (A, B, C, D, F *, : ✕ 1 i · 1) 1 założenie.
Fig. 32. Połowa pleców (C, D, E, F, G, H, :, ✕ 2 i · 2 — ✕ 3 i · 3) 1 założenie.
Rękaw patrz Fig. 10 z drugiej strony arkusza
Fig. 30a—32a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 30—32.
Fig. 33. Wskazanie kroju tuniki *a* przód, *b* bryt tylny.

N. VIII *Kaftanik* ranny z plastronem. Rycina 19 w N. 5.

Fig. 34. Połowa plastronu (I, ✕ 4 i · 4 do ✕ 6 i · 6).
Fig. 35. Przód (I, K, O, *).
Fig. 36. Pierwsza część pleców (K, L, M, N, O).
Fig. 37. Druga część pleców (I, M, N, P) 1 założenie.
Fig. 38. Połowa kołnierza (P).
Fig. 34a—38a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju.

Fig. 33.

Fig. 30a—32a

N. IX. *Kapotka* dla małego dziecka. Rycina 5 w N. 5.

Fig. 39. Połowa główki (Q, R, *, :, ✕ 7 i · 7 do ✕ 9 i · 9).
Fig. 40. Połowa karczka (Q, R).
Fig. 41. Połowa rondka (*, :).

N. X. *Płaszczyk* dla małego dziecka. Rycina 45 w N. 6.

Fig. 42. Przód (S, T, U).
Fig. 43. Połowa pleców (S, V, W).
Fig. 44. Połowa karczka (T, U, V, W, Y, Z).
Fig. 45. Rękaw (S, X).
Fig. 46. Połowa peleryuki (Y, Z, *, :).
Fig. 47. Połowa kołnierza (Y, Z).
Fig. 48. Patka (·). ○ ○ ○

Fig. 34a—38a.

N. XI. *Spódnica* z trenem. Rycina 14 w N. 6.

Fig. 49. Połowa paska (*, :).
Fig. 50. Wskazanie kroju połowy spódnicy: *a* połowa przodu, *b* klin pierwszy, *c* drugi klin, *d* połowa tylnego bryta (*) zestawiona z Fig. 49a.

N. XII. *Krótka* spódnica z turnierą. Rycina 11—12 w N. 6.
Pasek kraje się podług Fig. 49 (+, ·).

Fig. 51. Wskazanie kroju połowy spódnicy: *a* połowa przodu, *b* klin boczny *c* połowa tylnego bryta (+), *d* połowa turniury zestawiona z Fig. 49a.

N. XIII. *Kaftaniczek* dla chłopczyka do ryc. 20 w N-rze 6.

Fig. 52. Przód (a, b, h, i).
Fig. 53. Boczek przedni (a, b, c, d, k, o).
Fig. 54. Boczek od pleców (c, d, e, f, g, p).
Fig. 55. Połowa pleców (e, f, g, h, i ✕ 10 i · 10).
Fig. 56. Rękaw (k, l, m, n).
Fig. 57. Kieszonka (c, p). + + +

N. XIV. *Kołnierzyki* ze szmizetkami i mankiety. Rycina 36—39 w N-rze 6.

Fig. 58. Przód szmizetki (q, r, t).
Fig. 59. Połowa pleców (q, r, s). ✳ ✳ ✳
Fig. 60. Połowa paska (s, t, u, v).
Fig. 61. Połowa kołnierzyka, ryc. 36 (u, v).
Fig. 62. Połowa mankieta, ryc. 37.
Fig. 63. Połowa kołnierzyka, ryc. 38.

N. XV. *Domino* ryc. 25 w N-rze 6.

Fig. 64. Wskazanie kroju połowy domina w zmniejszeniu podług kroju N. I na arkuszu dzisiejszym *a* przód, *b* boczek, *c* połowa pleców, *d* rękaw, *e* połowa kapturka.

N. XVI. *Draperya* do sukni ryc. 13 w N-rze 6.

Fig. 65. Wskazanie kroju połowy draperyi (*

Fig. 50 — Fig. 49a — Fig. 51. — Fig. 64. — Fig. 65.

[redacted]

Fig. 32. — Fig. 40. — Fig. 46. — Fig. 42. — Fig. 33. — Fig. 38. — Fig. 60. — Fig. 59. — Fig. 43. — Fig. 47. — Fig. 34. — Fig. 62. — Fig. 61. — Fig. 56, 57 — [redacted] — Fig. 44. — Fig. 54. — Fig. 41. — Fig. 31. — Fig. 37. — Fig. 30. — Fig. 55. — Fig. 45 u. 63. — Fig. 52. — Fig. 49. — Fig. 53. — Fig. 57. — [redacted] — Fig. 36. — Fig. 58. — Fig. 39. — Fig. 48. — Fig. 35.

Dolna szerokość 30 cent. (Fig. 46) — Długość tylna 61 cent. (Fig. 46) — Środek pleców (Fig. 46) — Zfałdować (Fig. 42) — Długość boczna 92 cent. (Fig. 43) — Szerokość dolna 30 cent. (Fig. 43) — Środek (Fig. 62) — Podkrój spodniej połowy rękawa (Fig. 36) — Środek (Fig. 59) — Długość przednia 97 cent. (Fig. 42) — Brzeg przedni (Fig. 42) — Szew ramienia (Fig. 46) — Podkrój szyi w staniku (Fig. 30) — Zakładanie załamania (Fig. 30) — Długość boczna 77 cent. (Fig. 34) — Szerokość dolna 22 cent. (Fig. 34) — Dolny brzeg kamizelki (Fig. 30) — Druga zaszewka (Fig. 30) — Dolny brzeg stanika (Fig. 31) — Brzeg przedni stanika (Fig. 30) — Pierwsza zaszewka — Szew pleców — Brzeg przedni kamizelki (Fig. 30) — Linja oznaczająca — Linja naszycia — Brzeg przedni (Fig. 58) — Długość tylna 97 cent. (Fig. 43) — Dolna szerokość (Fig. 35) 40 cent. — Przednia długość z boku 77 cent. (Fig. 35)